



Marion Lennox



Odzyskana narzeczona

PROLOG

Blake, Connor, Sam, Darcy, Dominic i Nikolai. I jeszcze Pierce.

Jej synowie.

Ruby spojrzała na stojących w rzędzie przystojnych mężczyzn i westchnęła. Próbowała, ale się nie udało. Prezent w jej torebce - ich wspólny dar na jej siedemdziesiąte urodziny - świadczy dobitnie o jej klęsce.

Ale za to chłopcy są wspaniali, pomyślała, z trudem powstrzymując łzy. Starła się widzieć jasną stronę tego równania. Każdy z nich osiągnął sukces. Biorąc pod uwagę punkt, z jakiego startowali, przemiana jest imponująca.

Widziała, że z uwagą wpatrują się w mówcę. Ona właściwie też powinna to robić. Hrabia Loganaich przemawiał przecież na otwarciu jej schroniska dla dzieci specjalnej troski. To ona stworzyła fundację „Rodziny zastępcze Australii” i przez lata nią kierowała, dlatego dziś zaproszono ją tutaj jako doradcę i gościa honorowego.

I chociaż była zachwycona projektem, to na dźwięk słowa „doradca” krzywiła się w duchu. Doprawdy, nie zniedołężniała jeszcze całkowicie, chociaż wszystkim pewnie tak się wydaje. Aktywnie pracowała przy realizacji tego pomysłu. Poprosiła swoich chłopców o pomoc, a oni zrobili to bez wahania.

Wiedziała, że wspierali stworzenie schroniska zarówno doświadczeniem, jak i finansami. A dziś przylecieli z całego świata, by dzielić z nią tę specjalną chwilę. I dać jej prezent.

Właściwie to urodziny miała tydzień wcześniej. Chłopcy tłumaczyli, że celowo je wówczas zignorowali, bo wiedzą, jak bardzo nie lubi spędów rodzinnych. Ale nie była to cała prawda. To oni nie znosili takich spotkań. Nie lubili emocji, wzruszeń i uciekali przed nimi jak najdalej.

Na chwilę oderwała się od smutnych rozważań i spojrzała na podium. Zamek nad Zatoką Delfinów, w którym miało się teraz mieścić schronisko, był

przedsięwzięciem rodzinnym, dlatego teraz przemawiała żona lorda Hamisha, lady Susan. Ruby widziała radość i podniecenie na twarzach licznych członków rodziny Loganaich, którzy zgromadzili się tutaj, by wspólnie świętować sukces tego przedsięwzięcia.

Spojrzała na twarze swoich synów i nie potrafiła odnaleźć w nich tych samych uczuć.

Znowu przypomniała sobie o dokumentach w torebce i mimowolnie potrząsnęła głową. Ten prezent był co najmniej nieoczekiwany i wciąż nie wiedziała, co o nim myśleć. Akt własności jednego w tych wspaniałych apartamentów w Sydney, z widokiem na zatokę i luksusowo wyposażonym wnętrzem. Ale uwaga! Ten dar był obwarowany pewnymi warunkami.

- Ktokolwiek chciałby z tobą mieszkać dłużej niż dwa tygodnie, potrzebuje naszej zgody - oświadczyli jej synowie. - Chcemy, żebyś miała trochę spokoju i wreszcie przestała się zajmować przybłędami całego świata.

Przypomniała sobie te słowa i łzy napłynęły jej do oczu. Nic nie zrozumieli, pomyślała smutno. Wychowała ich najlepiej, jak potrafiła, i mogłoby się wydawać, że jej starania nie poszły na marne - chłopcy odnieśli mnóstwo sukcesów. Ale nie w jej ocenie.

Dyskretnie otarła nos, starając się skupić uwagę na właścicielach i pracownikach tego niezwykłego miejsca. Wyglądali na szczęśliwych i pełnych entuzjazmu. Wierzyła, że ten projekt odniesie sukces.

Ale czy jej chłopcy kiedykolwiek odniosą sukces w jej rozumieniu? Czy pokonają demony przeszłości i przestaną bać się uczuć?

Pierce pierwszy dostrzegł jej łzy. Skurcz przebiegł mu po twarzy, podszedł i delikatnie ścisnął jej ramię. Choć miał trzydzieści sześć lat i był wybitnym architektem, dla niej nadal pozostał tamtym głodnym przestraszonym dzieciakiem, którego musi ratować.

On bardziej niż inni przyczynił się do dzisiejszego sukcesu. Jego firma zaprojektowała i nadzorowała modernizację każdego zamkowego pomieszczenia,

tak aby mogło służyć nowemu przeznaczeniu. I oczywiście nie wziął za to ani grosza. Choć nie miała wątpliwości, że wykonał to zadanie z przyjemnością, jednak teraz zdawał się błądzić myślami gdzieś daleko.

No tak, przypomniała sobie, on ma swoje zmartwienia. Ciekawe, gdzie jest teraz dziecko, o którym mówił? Wciąż była oszołomiona rewelacjami, które usłyszała rano. Zaledwie kilka godzin temu dowiedziała się, że Pierce był żonaty, urodziło mu się dziecko, jego żona niedawno zmarła i został sam z kilkumiesięcznym niemowlakiem.

- Co się dzieje? - usłyszała ciche pytanie.

- Po prostu... jestem oszołomiona - przyznała. - Tak bardzo chciałabym, żebyś miał udaną rodzinę...

Uśmiechnął się smutno.

- Mam rodzinę.

Była pewna, że nawet takie wyznanie musiało sporo go kosztować.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? - zapytała.

- Ty już dość zrobiłaś.

- Ale nie możesz przecież zostać sam! Muszę ci pomóc.

- Nie, nie musisz - przerwał jej zdecydowanie. - Musisz teraz odpocząć.

- Będę miała mnóstwo czasu na odpoczynek - zapewniła go z uśmiechem. -

Ale póki co, jeszcze żyję.

Znów spojrzała na swoich synów. Wspaniali mężczyźni, pomyślała. Szkoda, że żaden z nich nie wie, jak żyć.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Shanni domyślała się, że życie na farmie niejednym ją zaskoczy, ale na coś takiego absolutnie nie była przygotowana.

Zjechała na pobocze, zgasiła silnik i zacisnęła ręce na kierownicy. Nie wjedzie tam. Nie ma mowy.

Nie była dziewczyną ze wsi. Jej znajomi wybuchnęli śmiechem, gdy dowiedzieli się, co zamierza zrobić.

- Krowy będą cię ignorować, o ile nie zbliżysz się do cielaków - ostrzegła Jules, która dorastała na farmie. - Konie są wielkie, ale niegroźne. A psy tylko robią wrażenie ostrych. Jak będą na ciebie szczekały, spójrz im w oczy i każ siadać.

Nikt jej jednak nie powiedział, co robić z gromadą dzieci. A brama była nimi oblepiona.

Obserwowały ją uważnie. Nic dziwnego, pomyślała, pewnie od tygodnia nikt tu nie przejeżdżał.

Jedno rude, jedno blond i dwoje ciemnowłosych. Ciekawe, czy są rodzeństwem.

Siedzieli na wjeździe do farmy, w której zgodziła się pracować, i nie miała pojęcia, co o tym myśleć, ale wcale nie była pewna, czy chce rozwikłać tę zagadkę.

Na desce rozdzielczej leżał list od cici Ruby. Sięgnęła po niego i, ignorując wlepione w siebie spojrzenia czterech par oczu, przeczytała go jeszcze raz.

Pierce nie chce się zgodzić, żebym mu pomogła. - Shanni miała wrażenie, że ciocia pisała tak, jak mówiła - szybko, niemal bez przerw na oddech. - *Zawsze był czuły i troskliwy, ale teraz ma trudny okres i doprawdy nie chcę zostawiać go z tym samego. Jego żona, której nie poznałam, zmarła pół roku temu i został sam z małym dzieckiem. Nie mam pojęcia, jak on sobie radzi. Chłopcy też martwią się o niego. Podobno ma opóźnienia w pracy, grozi mu nawet utrata dużego zamówienia.*

W każdym razie, kochana, skoro, jak twierdzi twoja matka, twoje życie w

Londynie jest w ruinie, bo ten Michael złamał ci serce - swoją drogą nigdy nie rozumiem, jak mogłaś kochać faceta z kucykiem - a do tego straciłaś swoją galerię, to może chciałabyś wrócić do domu, zaszyć się na jakiś czas na farmie i wyleczyć rany? A dopóki Pierce nie upora się z tym zamówieniem, pomogłabyś mu przy dziecku. Podobno wciąż szuka gospodyni, więc niedługo ktoś cię wyreczy. Wiesz, że najchętniej sama bym pojechała i mu pomogła, ale nie chce o tym słyszeć. Chłopcy uważają mnie za zabytek, który rozpadnie się przy byle dotknięciu...

Kochana Ruby, pomyślała Shanni, uśmiechając się lekko. Całe życie pomagała innym i teraz nie może znieść tego, że przybrani synowie chcą ją wysłać na emeryturę. Pewnie póki żyje, nie przestanie próbować. I dlatego właśnie postanowiła przysłać tu Shanni.

Praca gosposi u przyszywanego kuzyna i opieka nad jego osieroconym dzieckiem, w dodatku na drugim końcu świata? Jeszcze niedawno wybuchnęłaby śmiechem na samą propozycję. Ale teraz jej dawne życie legło w gruzach, a poza tym...

To jest Pierce MacLachlan, jeden w wielu przybranych synów Ruby. Na każdej rodzinnej uroczystości pojawiał się ich kilku.

Po dokładnym rozważeniu wszystkich za i przeciw zdecydowała się przyjąć tę ofertę.

Po pierwsze dlatego, że mu współczuła. Poznała go na jakimś rodzinnym weselu dwadzieścia lat temu. On był wyrośniętym piętnastolatkiem, a ona pyską, niemal dziesięcioletnią pannicą. Już wtedy zrobił na niej wrażenie biednego przestraszonego dzieciaka, który ukrywał samotność pod maską obojętności. Miał chmurną, bardzo wyrazistą i nieco tajemniczą twarz, co zwykle silnie działało na wyobraźnię młodych dziewcząt. Czyżby więc tamte uczucia nadal się w niej tliły?

Akurat, jeszcze czego! Ona jest już dużą dziewczynką, a Pierce od tamtego czasu pewnie przytył, wyłysiał i stał się zadufanym w sobie bubkiem.

Ale poza współczuciem miała też inny, całkiem prozaiczny powód, by przyjąć tę pracę. Zwyczajnie nie miała pieniędzy, by zostać w Londynie. Straciła galerię,

mężczyznę i miała złamane serce. A Ruby wspominała, że Pierce ma sielską farmę. Pomyślała, że mogłaby tam pojechać, trochę odpocząć, rozejrzeć się w sytuacji, a gdyby jej nie odpowiadała, wrócić do gościnnego pokoju w domu rodziców i tam lizać rany.

I dlatego wylądowała tutaj, przed bramą wjazdową, na której siedziała czwórka wpatrzonych w nią dzieciaków. Skąd się wzięła czwórka? Jedno przerażało ją już wystarczająco.

Najchętniej wrzuciłaby wsteczny bieg i się wycofała. Problem jednak polegał na tym, że nie bardzo miała dokąd. Po otrzymaniu listu od Ruby nie zastanawiała się długo. Szybko spakowała rzeczy, pozamykała ostatnie sprawy i bez ostrzeżenia wróciła do Australii.

Tymczasem jej rodzice wyjechali i podnajęli dom. Tak więc, gdy po przebyciu tysięcy mil wkroczyła z walizkami na podjazd, natknęła się na obcych ludzi, którzy właśnie rozpalali grilla na jej własnym trawniku.

Nie rozplakała się. Nigdy zresztą nie płakała. Nawet wtedy, kiedy znalazła Mike'a w łóżku z jedną z tych wychudzonych głupiutkich modelek. To była scena jak z filmu komediowego. Szkoda tylko, że zdarzyła się naprawdę. Shanni wróciła wcześniej do domu i usłyszała jakieś głosy w sypialni. Kiedy stanęła w progu, nawet jej nie zauważyli. Cóż, zbytnio się nie rozglądali.

Wycofała się i przeszła do kuchni. Napełniła wiadro zimną wodą i drżąc z wściekłości, wróciła do sypialni. Patrzyła na nich jeszcze przez chwilę, po czym uniosła wiadro i wylała na łóżko całą jego zawartość. Zemsta ma wspaniały smak.

Choć, patrząc z perspektywy czasu, może lepiej byłoby się popłakać. Bo Mike najwyraźniej nie zamierzał pozostać jej dłużny. Szybko opróżnił ich wspólne konto i do cna wyczerpał limit na karcie kredytowej. To wystarczyło, by wykończyć ją finansowo, a jej zadłużona galeria padła. Mimo wszystko miała irracjonalną satysfakcję, że Mike nie widział jej płaczącej.

Poradziłam sobie wtedy, poradzę i teraz, pomyślała, ale gdy znowu spojrzała na ten komitet powitalny, poczuła, że jej pewność siebie gdzieś się rozplywa.

Dzieci patrzyły wyczekująco, najwyraźniej zdumione, że nie wjeżdża do środka. Najstarsze z nich, dziewczynka z krótkimi miedzianymi lokami, podskoczyła do bramy, gotowa ją otworzyć. Shanni uchyliła okno.

- Czy to Farma przy Strumieniu? - zawołała.

- Tak - odkrzyknął najstarszy chłopiec. - Ty jesteś Shanni?

- Uhm - mruknęła niewyraźnie.

- Wreszcie! - Ruda dziewczynka otworzyła szeroko bramę, nie przejmując się tym, że między sztachetami siedziała trójka jej rodzeństwa. - Tata kazał cię wypatrywać.

- Wasz ojciec mnie oczekuje?

- Jasne! Powiedział, że ciocia Ruby załatwiła nam nianię. Z trudem przełknęła ślinę.

- Rozumiem... - powiedziała niepewnie. - Wasz tata nazywa się Pierce? - upewniła się na wszelki wypadek.

- Tak, Pierce MacLachlan. - Dziewczynka pozbawiła ją ostatnich złudzeń. Podeszła bliżej i wsunęła rękę w szczelinę okna. - Ja jestem Wendy i mam jedenaście lat. Tamci to Bryce, Donald i Abby - kontynuowała prezentację. - Bryce ma dziewięć lat, Donald siedem, a Abby cztery. Jest jeszcze Bessy, ale ma tylko osiem miesięcy i nic nie mówi, a teraz pojechała z tatusiem. Tak naprawdę to ona nazywa się Elizabeth, ale mówimy na nią Bessy.

- Gdzie jest tatuś? - spytała Shanni słabym głosem.

- Musiał jechać z Bessy do lekarza, bo chyba ma ospę. Jeszcze nie ma krost, ale okropnie ryczy. Tatuś nie spał całą noc i prawie rozplakał się ze szczęścia, kiedy się dowiedział, że przyjeżdżasz.

- Och! - jęknęła jeszcze słabiej. - A wy przechodziliście już ospę?

- O tak. - Wendy beztróska machnęła ręką. - Najpierw ja, a potem zaraziłam ich. - Wskazała na rodzeństwo, ciągle bujające się na bramie. - Tatuś miał wtedy kołowrót, ale mu pomogłam. Myślał, że będzie mógł wrócić do pracy, ale teraz zachorowała Bessy i tata powiedział, że oddałby pół królestwa za pomoc. Ojej!

Tego miałam nie mówić! - zreflektowała się, ale szybko dodała: - Zresztą potem, jak spojrział na nas, powiedział, że oddałby całe królestwo. Wiemy, że nie powinniśmy zostawać sami - trajkotała dalej Wendy - ale okazało się, że w kombi jest przebita opona, widocznie jeszcze mama przebiła, zanim... zanim umarła. A samochód tatusia jest mały, wszyscy i tak byśmy się nie zmieścili i naprawdę miał jechać tylko do doktora, więc obiecałam, że będziemy grzeczni, usiądziemy na bramie i poczekamy na ciebie. Nawet Abby obiecała, że nie spadnie.

Shanni odniosła wrażenie, że już dawno straciła wątek.

- Ruby... - szepnęła do siebie i pokręciła głową.

Kochana cioteczka. Jak niby miałyby sobie z tym poradzić? Szukała miejsca, gdzie mogłaby odpocząć i znaleźć trochę czasu na przemyślenia. Kiedy zgodziła się tu przyjechać, miała wizje spokojnych spacerów z rozkosznym bobaskiem, oglądania sielskich obrazków, które pomogą jej odzyskać spokój ducha i natchną do malowania.

Głośny pisk przerwał te rozmyślenia. Chłopcy rozkołysali bramę i Abby, mimo obietnicy, przechyliła się do tyłu. Czterolatka wisiała z głową w dół, jej mysie ogonki zamiatały ziemię, i rozpaczliwie machała łapkami.

- Pomocy! - wrzeszczała. - Wendy, pomóż!

Wendy westchnęła ciężko. Rozejrzała się na obie strony i przeszła przez drogę. Wyglądała, jakby miała za ciasne buty i obtarte stopy.

Uginając się pod ciężarem młodszej siostry, Wendy oplotła ją chudymi ramionami i zdjęła z bramy.

- Wjeżdżasz? - zawołała, zmagając się ze swym ciężarem. Shanni uniosła głowę i napotkała jej wzrok. Dziwne spojrzenie dziecka, które zmuszono do przedwczesnego dojrzewania. Mimo woli serce jej zadrżało.

Daj spokój, upomniała się w myślach. Ta wrażliwość już nieraz zaprowadziła ją w ślepy zaułek. Nawet Mike... Kiedy się poznali, nie miał się gdzie podziąć i był obiecującym artystą. Teraz myślała, że wówczas pomyliła miłość ze współczuciem.

Nie powinna czuć się zobowiązana wobec tych dzieciaków. Powinna zawrócić

i odjechać. Natychmiast.

Ale Wendy patrzyła na nią ze ściągniętą twarzą. Nadal dźwigała siostrę, wyraźnie nie spodziewając się pomocy.

- Krew ci leci, podrapałaś się - mówiła szorstkim głosem do Abby. - Trzeba to opatrzyć.

I w tym momencie decyzja zapadła.

- To mówcie, jak się nazywacie! - krzyknęła Shanni.

- Ja jestem Bryce - odkrzyknął najstarszy chłopiec.

- No dobrze, Bryce, powiedz mi, gdzie mogę zaparkować.

- To ospa wietrzna - oświadczył doktor z nutą dezaprobaty. - Bessy płaci cenę za pańskie zaniedbania, powinieneś być ją pan zaszczepić. Podobnie zresztą jak i resztę.

Gdyby nie był tak zmęczony, po prośbie walnąłby go w nos. Ale to wymagałoby zebrania takiej ilości energii, jakiej od dawna nie posiadał.

- Tu jest recepta - ciągnął chłodno doktor. - Dwa razy dziennie, tak jak starsze. Mam nadzieję, że mogę na panu polegać?

Pierce mruknął coś niewyraźnie, bo Bessy właśnie wspięła mu się na szyję.

- Na pewno nie chce pan, żebym zadzwonił do biura pomocy społecznej?

Mogliby pomóc.

- Nie chcę - odparł Pierce. - I będę miał pomoc.

- Doskonale. Mam nadzieję, że będzie to ktoś kompetentny. Te dzieci dość już wycierpiały. - Schował kartę Bessy do teczki. - Proszę dać znać, gdyby zmienił pan zdanie.

Shanni weszła za Wendy do kuchni i niemal natychmiast chciała stamtąd uciekać. Wielka zielona kuchnia rozciągała się na całej wschodniej ścianie budynku. Kredensy i ławy zrobione były z litego drewna, a podłoga wyłożona dębowymi deskami. Na środku stał ogromny stół, wystarczająco wielki, żeby... żeby pomieścić wszystkie naczynia, jakie były w domu. Czy oni kiedykolwiek sprzątają?

- Trochę tu nabałaganiliśmy - odezwała się niepewnie Wendy, widząc jej

spojrzenie. - Bessy była wczoraj naprawdę chora...

Nadal dźwigała Abby, jakby bała się z nią rozstać. Chłopcy trzymali się z tyłu. Oni chociaż wyglądali jak bracia - obaj mieli ciemne kręcone włosy, piegi na policzkach i nieufność w zachowaniu.

Choć na zewnątrz było ciepło i słonecznie, w kuchni panował chłód.

- Wczoraj skończyło nam się drewno - wyjaśniła Wendy, dotykając pieca. - Tatusz nie miał czasu, żeby narąbać, a zresztą i tak nie mógłby nas zostawić z rozpalonym piecem. Zjedliśmy na śniadanie płatki z mlekiem i sok, więc nie potrzebowaliśmy ognia.

- Uhm... - mruknęła Shanni, choć trudno powiedzieć, by cokolwiek z tego rozumiała.

Wendy posadziła Abby na krześle i powiedziała:

- Siedź grzecznie, muszę poszukać plastra.

- Najpierw trzeba to przemyć - przypomniała Shanni. - Zaprowadź mnie do łazienki i przynieś mi wodę utlenioną.

- Czy to znaczy, że będziesz się nami zajmować? - Wielkie oczy Wendy patrzyły z pełnym nadziei wyczekiwaniem.

- Nie mam pojęcia - odrzekła Shanni szczerze. - Nie wiem, na jak długo. Ale na pewno do powrotu waszego ojca. A na początek zajmiemy się tym palcem.

Zmęczona Bessy zasnęła gdzieś w połowie drogi między przychodnią a apteką. Wreszcie. Od wczoraj nie przestawała płakać, więc ta nagła cisza niemal go ogłuszała.

Znalazł miejsce do zaparkowania wprost przed drzwiami apteki. To dobrze, nie będzie musiał jej budzić. Wiedział, że nie powinien zostawiać dziecka w samochodzie i wolał nawet nie myśleć, co powiedziałyby o tym opieka społeczna.

Ale to przecież nie jest zamykane auto, uspokajał się. Jego sportowe jasnożółte coupe MX-5 ma otwarty dach, a wiosenne słońce łagodnie świeci. Wbiegł do apteki i cały czas zerkał przez okno, by kontrolować, co się dzieje z Bessy.

- Musi pan poczekać dwadzieścia minut - powiedział aptekarz. - Tyle potrwa

przygotowanie leków.

- Mam dzieci w domu i niemowlę w samochodzie - jęknął głucho.
- Nie powinien pan zostawiać dziecka samego w samochodzie - pouczył go

aptekarz.

Nawet nie chciało mu się z nim spierać.

- Nie mógłbym dostać ich szybciej?
- Dwadzieścia minut - powtórzył aptekarz zdecydowanym tonem i zniknął na

zaplaczu.

Pierce westchnął. Nie może przecież przywalić wszystkim w tym mieście, a wygląda na to, że zmówili się przeciw niemu.

- Poczekam w samochodzie - zawołał przy drzwiach i wyszedł.

Dostrzegł swoje odbicie w oknie wystawowym i sam się przeraził. Nie golił się od kilku dni, spał w ubraniu, wyglądał okropnie.

Wśliznął się na siedzenie i oparł głowę o oparcie fotela. Bessy nawet nie jęknęła. Przymknął oczy. Jest tak ciepło... Ma dwadzieścia minut. Sam nie wiedział, kiedy głowa opadła mu na piersi.

- O której miał wrócić wasz ojciec? - spytała, starając się ukryć irytację.
- Powiedział, że za godzinę. Po dziesiątej miał być u lekarza.
- Jest kwadrans po jedenastej, chyba powinien już wrócić.
- Tak...

Widziała, jak bardzo Wendy stara się ukryć drżenie warg, ale bez sukcesu. Tak, zostanie tu do jego powrotu, obiecała sobie, a potem szybko zniknie. Teraz nie może wyjechać. Te dzieci wyglądają na jeszcze bardziej przerażone niż ona. Nie może ich zostawić.

Widziała wpatrzone w siebie twarze, pełne napięcia i skrywanego strachu. No tak, pomyślała, straciły matkę, ojciec się spóźnia, ich świat od dawna nie jest już bezpieczny.

- A więc był u lekarza, tak? - spytała i zobaczyła, że Wendy energicznie kiwa głową. - Macie numer do przychodni?

Zadzwoiła i dowiedziała się, że Pierce wyszedł z gabinetu już kilkadziesiąt minut temu.

- Miał jeszcze jechać do apteki - ciągnęła recepcjonistka. - I pewnie przy okazji zechce zrobić zakupy. Czyżby zostawił dzieci same? - W jej głosie brzmiała tak wyraźna dezaprobata, że Shanni czym prędzej powiedziała:

- Nie, są ze mną.

- To dobrze. Ale gdyby były jakieś problemy, to proszę o sygnał. Wie pani, opieka społeczna wcale nie jest przekonana, czy on da sobie radę.

Kobieta mówiła to na tyle głośno, że Wendy, która stała tuż obok, wszystko słyszała.

- Powiedz jej, że sobie radzi - szepnęła rozpaczliwie. - Powiedz, że wszystko u nas dobrze. Tata po prostu robi zakupy.

- Wszystko dobrze - powtórzyła Shanni i odłożyła słuchawkę.

- Chcą nas odebrać tatusiowi! - jęknęła Wendy.

Nie wiedziała, kogo dziewczynka ma na myśli, ale wołała o to nie pytać. Najwyraźniej nie powinna też dzwonić na policję i zgłaszać zaginięcia. Da mu jeszcze chwilę na powrót.

Nadal jednak nie wiedziała, co robić z dziećmi.

- Nie martwcie się - stwierdziła dziarsko. - Jeśli ktoś nas odwiedzi, to pokażemy im, że świetnie sobie radzimy.

- A jak to zrobimy? - zapytała Wendy.

- Posprzątam - wyjaśniła Shanni, wpatrując się w stertę naczyń. - Zaraz narąbię drewna, żeby napalić i zagrzać wodę. To będzie wielka bitwa, musimy więc wszystko dobrze zaplanować. W zlewie się z tym wszystkim nie zmieścimy nalejemy wody do wanienki. Donald, poszukaj czystych ścierek, a reszta pozanosi brudne rzeczy do łazienki. Chłopcy myją, dziewczynki wycierają. Ja tymczasem posprzątam w kuchni, żeby było je potem gdzie przenieść.

- Nie umiemy zmywać - jęknął Donald. - Jesteśmy za mali.

- Nieprawda - przekonywała go. - Zdejmijcie tylko buty i skarpety, żebyście

się nie pomoczyli. To może być całkiem niezła zabawa. Macie tu jakiś magnetofon?

- Tatuś ma. Przyniosę też płyty - rzekła Wendy.

- Świetnie. Wybierz coś, co nam doda energii, może Abba? - zaproponowała. -

Znacie?

- Jasne - zaśmiała się Abby. - Mamusia tak bardzo lubiła tę grupę, że nazwała mnie na ich cześć.

- Ale nie wiem, gdzie jest płyta - zmartwiła się Wendy.

- Nie szkodzi - pocieszyła ją. - Przeszukamy dom i na pewno coś znajdziemy.

Zanim doprowadzimy tu wszystko do ładu, będziemy potrzebować mnóstwa płyt.

O czwartej po południu słońce zaszło za budynek poczty i jego promienie przestały padać na niewielki sportowy samochód zaparkowany przed apteką.

Pierwsza obudziła się Bessy. Kręciła się niespokojnie w foteliku, wyciągnęła łapki i zaczęła targać ciemne włosy Pierce'a. Ten zerwał się jak rażony piorunem, a Bessy aż mlasnęła, zadowolona z efektu.

- Bess - jęknął. - Nie doceniałem twojej siły.

Przeciągnął się i przyglądał włosy. Zaspianym spojrzeniem przesunął po okolicy i nagle jego wzrok zatrzymał się na wieży zegarowej.

Zamarł. To niemożliwe!

Przespał prawie pięć godzin, a więc od sześciu dzieci są same! Nerwowo sięgnął do kluczyka, gdy zobaczył, że kobieta układająca towar na półkach w aptece macha do niego ręką. Wyskoczył z samochodu.

- Lekarstwo jest gotowe - oznajmiła. - Zastanawialiśmy się, kiedy się pan obudzi. Powinien być pan bardziej ostrożny, dziecko mogło dostać udaru.

Nieźle. Shanni krytycznie spojrzała na szkic. Jej pierwsza krowa. Całkiem podobna do krowy, nawet jeśli noga wyszła trochę dziwnie.

Zerknęła na dzieci. Cztery pudełka z farbami, cztery pędzle, cztery główki pochylone nad sztalugami. Pełna koncentracja. To dobrze. Była już czwarta po południu. Chyba nie powinna dłużej czekać, musi kogoś zaalarmować. Spojrzała na Wendy, która malowała z rozpaczliwą desperacją, i napotkała jej błagalny wzrok.

Poczeka jeszcze trochę.

Pierce pędził do domu, starając się nie przekraczać dopuszczalnej prędkości. Powinien być wypoczęty, ale tak nie było. Myślał, że zostawia dzieci tylko na godzinę. Zresztą dziś miała przyjechać ta, jak jej tam, Shanni?

Nawet jeśli przyjechała, to pewnie dawno już uciekła, a dzieci są przerażone.

Pokonał ostatni zakręt i zobaczył stojący na podwórku samochód policyjny. Ciekawe, kto ich tu nasłał? Doktor? Aptekarz? A gdzie są dzieci? Pełen napięcia wypinał Bessy z fotelika, kiedy pojawili się dwaj policjanci w towarzystwie szczupłego rudzielca.

Patrzył, nic nie rozumiejąc.

Drobna kobieta była ubrana w wyblakłe dzinsy i czerwoną bluzę. Rude, sięgające ramion włosy związała żółtą chustką. Dostrzegł ślady zielonej farby na jej nosie. I piegi. Coś błysnęło mu w pamięci. Jakieś wesele w rodzinie Ruby przed wielu laty. Był wystraszony, samotny i niepewny. Jakiś chłopak wciąż go prześladował.

- Podrzutek! - pokrzykiwał za nim. - Bękart!

Wtedy nagle jak spod ziemi pojawiła się chudziutka dziewczynka z kokardą na rudych włosach. Podeszła do kuzyna i z całych sił nastąpiła mu na stopę.

- Przepraszam - powiedziała bez śladu skruchy w głosie, a potem zwróciła się do niego: - Cześć, jestem Shanni, a ty?

Na zawsze zapamiętał tamten gest odwagi i dziecięcej solidarności. Czyżby to była ona?

- Pierce, mój drogi, tu jesteśmy! - rzuciła z szerokim uśmiechem. - Jak Bessy? Zrobiłeś zakupy, o które prosiłam?

- Uhm... - Zaskoczony nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Przeniósł wzrok na policjantów i ze zdumieniem zauważył, że też się uśmiechają. Pamiętał ich, byli tu dwa tygodnie temu z pracownikami opieki społecznej. Wtedy odchodzili z wyraźną nieufnością. Teraz się uśmiechali, a młodszy wyglądał na rozbawionego.

- Więc w piątek wieczorem? - rzucił do Shanni.

- Zobaczymy. Muszę najpierw ustalić z kuzynem dyżur przy dzieciach. Nie możemy przecież zostawić ich samych.

Uuuh. Czy mu się zdawało, czy ostatnie zdanie było wyraźną aluzją?

- Do widzenia - włączył się starszy. - Powodzenia z tą krową, noga wygląda całkiem dobrze.

- Zadzwoń w piątek. - Młodszy policjant pomachał świstkiem papieru.

Zasalutowali z uśmiechem i wsiedli do wozu.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Ty jesteś Shanni, tak? - spytał, gdy zostali sami.

- Tak sądzisz? - Uniosła lekko brwi. Przestała się uśmiechać, gdy tylko policjanci wyjechali za bramę. - Może powinieneś się upewnić. W końcu dobrze jest wiedzieć, z kim zostawia się dzieci na pół dnia.

- Słuchaj, zaraz to wytłumaczę... - zaczął. Ale jej wdzięk i urok nagle gdzieś zniknęły.

- W co ty sobie grasz? - spytała ostro. - Wendy była przerażona. Sama miałam ochotę powiedzieć tym policjantom, że lepiej będzie, jak zabiorą dzieci. Co z ciebie za ojciec? I gdzie, do cholery, tak długo byłeś?

- Uważaj na słowa - odezwał się szybko. - Uczę dzieci, żeby nie przeklinały.

Zamarła i spojrzała na niego, jakby był kosmitą.

- Kpisz sobie? Są przestraszone, opuszczone i głodne, a ty skupiasz się na tym, żeby nie przeklinały?

- Nie są głodne - zaprotestował słabo.

- Tak? A co niby zostawiłeś im na lunch? Starał się zmusić do myślenia.

- No, są jajka, kielbaski, mrożone frytki...

- Ale do tego wszystkiego trzeba rozpalić piec - wyjaśniła, jakby był półgłówkiem. - Dzieci były głodne - powtórzyła z naciskiem.

- Brak jednego lunchu to jeszcze nie głodówka - próbował się bronić.

- Tatusiu... - usłyszał cienki głosik i zobaczył Wendy, skrywającą się za nogą Shanni jak za tarczą.

Zrobiło mu się ciężko na sercu.

- Do diabła, córeczko...

- Nie przeklinaj przy dzieciach - przerwała mu Shanni lodowato.

- Słuchaj, zasnąłem - rzekł z rozpaczą. - Nie spałem całą noc. Byłem u doktora, a potem czekałem na przygotowanie lekarstw. Usiadłem na chwilę w samochodzie, bo nie chciałem zostawiać Bessy samej, i po prostu zasnąłem. - Rozłożył ręce w bezradnym geście. Co jeszcze mógł powiedzieć? Nie miał nadziei, że przekona Shanni, ale chciał, by chociaż Wendy zrozumiała.

Dziewczynka przez chwilę ważyła jego słowa.

- Naprawdę nie spał w nocy - powiedziała w końcu. - Poprzedniej też nie za długo, bo miałam koszmary. Budziłam się i robił mi czekoladę.

Chłód Shanni jakby trochę zelżał.

- Mówisz więc, że ma jakieś usprawiedliwienie?

- Jest chyba bardzo zmęczony - ciągnęła dziewczynka.

- Rzeczywiście wygląda strasznie - podjęła Shanni. - Kiedy ostatnio się golił?

- Nie pamiętam. Ale jak się ogoli, nie jest tak źle. Z lekkim zarostem też jeszcze może być. Ale teraz zarósł już za bardzo.

Zdumiony przysłuchiwał się tej rozmowie. Trochę przerażała go ta nagła komitywa i nie bardzo wiedział, co z niej wyniknie.

Wendy zrobiła krok w jego stronę i wzięła Bessy, ale zaraz znowu wycofała się za Shanni. Chyba jest po jej stronie. Musiała nieźle się przestraszyć.

- Naprawdę przepraszam - odezwał się do niej, podczas gdy Shanni ćwiczyła na nim zabójcze spojrzenia.

- Myślałam, że od nas uciekłeś.

- Nigdy bym nie uciekł, mówiłem ci przecież.

- Mężczyźni kłamią. Mamusia tak mówiła.

Zapadła kolejna chwila ciszy. Dłuższa od poprzedniej i znacznie cięższa. Nie

miał pojęcia, co powiedzieć. Wszystkie, Shanni, Wendy i nawet Bessy patrzyły na niego jak na dżdżownicę. Pomoc przysłała nagle i z zupełnie niespodziewanej strony.

- Wiecie, mój tatuś nie kłamał - odezwała się zamyślona Shanni. - Naprawdę znam go prawie od trzydziestu lat i chyba mogę powiedzieć, że nigdy mnie nie okłamał. Robił różne błędy, raz na przekład zostawił mnie na pięć godzin na lodowisku, bo zaczytał się w ciekawej książce, ale nie kłamał. Jesteś głodny? - nieoczekiwanie zapytała.

Dotąd nawet nie myślał o jedzeniu. Ale skoro spytała...

- Chyba troszkę...

- Są kielbaski, ale zimne - oświadczyła Wendy. - Jedliśmy je na lunch. I jeszcze ciasteczka czekoladowe, Shanni zrobiła.

- Shanni zrobiła ciasteczka czekoladowe - powtórzył oszołomiony.

Zjawia się jak anioł w chwili, gdy najbardziej jej potrzebuje, oczarowuje policjantów, gotuje lunch i jeszcze piecze ciastka. Wprost niewiarygodne.

- To moja specjalność - odezwała się skromnie.

- Ale przecież nie mogliście rozpaścić w piecu, nie było drewna...

- Shanni narąbała - relacjonowała Wendy. - Chłopcy pomogli i skrzynia na drewno jest teraz pełna.

Aha, a więc jeszcze porąbała drewno i rozpaściła w piecu.

- Tak - zgodziła się łaskawie. - Możesz powiedzieć, że jestem wspaniała.

- Ale Ruby mówiła, że jesteś artystką. - W jego ustach zabrzmiało to jak oskarżenie.

- Postanowiłam porąbać drewno, żeby wyrzucić kłębiące się we mnie emocje, na przykład złość - wyjaśniła.

- Złość? - zdziwił się. - Dlaczego?

- Rzeczywiście, dlaczego miałabym się wściekać? - zwróciła się bardziej do Wendy niż do niego. - Zostałam tu ściągnięta pod fałszywym pretekstem.

- Jakim fałszywym pretekstem? - spytał słabo.

- Miało być jedno dziecko - wyjaśniła, przytulając Wendy w kolejnym

przejawie serdeczności. - Ruby mówiła o jednym, nie pięciorgu - podkreśliła.

- Cóż, może faktycznie Ruby mogła wspomnieć tylko o jednym - tłumaczył mętnie. - Będę szczery. Chciałem ściągnąć cię tu za wszelką cenę, a potem przekupić prośbami albo pieniędzmi.

No, teraz mi się dostanie, pomyślał. Ale znowu miał szczęście. Bessy, która do tej pory siedziała spokojnie, nagle przypomniała sobie, że od rana nic nie jadła, i oznajmiła to głośnym płaczem.

- Poczekasz przynajmniej, aż nakarmię Bessy? - próbował przekrzyczeć płacz.

- Zostanę, aż mi to wszystko wyjaśnisz - odparła ponuro. - A potem zamorduję ciebie i ciocię Ruby, muszę tylko zdecydować, które najpierw.

Powinna uciekać. Uciekać przy pierwszym krzyku Bessy i nie czekać na żadne wyjaśnienia. Teraz wszystko się przeciągnie. Małą trzeba przecież nakarmić, umyć, położyć spać. Podobnie jak całą resztę.

Krowy też potrzebują paszy. Obserwowała, jak Pierce wynosi belę słomy ze stodoły i rozkłada w zagrodzie dla bydła. Patrzyła na jego długie nogi w spranych dżinsach i przypominała sobie tamtego zagubionego chłopaka. Już wtedy uznała, że jest atrakcyjny i w tej kwestii nic się nie zmieniło. Tylko że teraz ma pięcioro dzieci...

A to już nie jest tak atrakcyjne.

- O czym myślisz? - Głos Wendy przerwał te rozważania.

- Myślę, że wszyscy jesteście bardzo szczupli - odparła, nawet nie całkiem kłamiąc. - Co wy jadacie?

- No, tatuś nie jest zbyt dobrym kucharzem. Czasami robi nam jajecznicę...

- Ale nie taką pyszną jak ta - odezwał się Bryce. - Nie jest nawet przypalona!

- To moja kolejna specjalność. Zaraz po ciasteczkach.

- Specjalność taty to zamawianie pizzy. Ale ostatnim razem zapomnieliśmy, że nie mamy gotówki, a dostawca nie chciał przyjąć czeku, więc już nie przyjeżdża.

- Mogę zrobić wam pizzę.

- Żartujesz? - Pierce stanął w progu i przez chwilę podziwiał panujący wokół

porządek. - Umiąłabyś zrobić pizzę?

- Pewnie umie otworzyć te pudełka z supermarketu i podgrzać - sprytnie podpowiedział Bryce.

- A nieprawda! Umiem robić wszystko sama: ciasto, sos, nadzienie. Mogę wam zrobić pizzę choćby jutro, jeśli dostanę składniki.

- Czyli zostajesz? - odezwał się Donald. Był najspokojniejszy, odkąd przyjechała prawie się nie odzywał, tylko ją obserwował.

- Tylko jutro. - W końcu musi przecież gdzieś przenocować. - Oczywiście, jeśli macie wolne łóżko.

- Jest sypialnia mamusi - powiedział Donald.

- Hm, tam chyba śpi tata - mruknęła niepewnie.

- Tata śpi na górze, z Bessy, bo ona ciągle płacze i trzeba do niej chodzić - wyjaśniła Abby.

- Kiedyś chodziła Wendy, bo mama nie chciała, żeby chodził Pierce, ale teraz...

Nic z tego nie rozumiała, ale nie chciała dopytywać.

- Czy nie powinniście iść już do łóżek? - spytała.

- Przeczytasz nam dziś bajkę? - poprosiła Abby.

- Nie, ja pozmywam, a tatuś wam poczyta - zarządziła Shanni.

Czytał im prawie godzinę. Kiedy zszedł na dół, Shanni siedziała na podłodze, przed drzwiami otwartej na oścież lodówki. Im dłużej na nią patrzył, tym bardziej przypominała dawną dziesięciolatkę. Już wtedy miał ochotę patrzeć na nią i uśmiechać się. Ale teraz to było głupie, a nawet niebezpieczne.

- Co robisz? - spytał.

- To nie jest lodówka, tylko ekosystem - powiedziała, pokazując mu groszek porośnięty warstwą pleśni. - Chyba właśnie w ten sposób wynaleziono penicylinę. A może szukałeś szczepionki na ospę?

- Zostaw to - mruknął zmieszany.

- Podaj mi worek na śmieci. Jeśli pozwolimy się temu rozmnożyć, zawładnie

światem.

Przyniósł jej kosz, do którego wrzuciła jeszcze kilka produktów.

- Na ogół jestem schludny - próbował się bronić.

- Pamiętam, jak miałeś piętnaście lat - zaśmiała się. - Wtedy istotnie byłeś...

schludny.

Spojrzał na nią groźnie.

- Chodzi ci o to, że byłem w garniturze - domyślił się.

- Niebieski w paski, pamiętam. Chłopcy śmiali się z tego i to cię drażniło.

Wbił wzrok w podłogę, starając się uporządkować myśli. Próbował dopasować tę kobietę do swoich wspomnień. Ruby mówiła o niej po prostu „nasza Shanni”. Nasza Shanni przyjedzie i ci pomoże. A on pamiętał tylko rude kucyki i ten uśmiech.

- Nie kojarzę cię zbyt dobrze - przyznał w końcu.

- Mój ojciec jest młodszym bratem Ruby - przypomniała. - Jestem córką Lucy i Willa, naukowców, obecnie w Szwajcarii.

- Nie pamiętam Lucy i Willa. Ale pamiętam ciebie. Nadepnęłaś na palce Harry'emu.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się. - Wyrósł na handlarza używanymi samochodami. Podobno ożenił się ze straszną jędzą. - Wyciągnęła z lodówki coś zielonkawego. - To chyba było ogórkiem.

- Uhm... - mruknął niewyraźnie.

- Dlaczego nie powiedziałeś, że masz pięcioro dzieci? - spytała nagle.

- Cóż... Uznałem, że nie ma sensu opowiadać Ruby wszystkiego, niepotrzebnie by się przejmowała.

- Aha, więc po prostu pominąłeś taki drobiazg jak czwórka dzieci, żeby nie martwić Ruby? - upewniła się. - A to chyba zapuściło już korzenie... - Dłubała gdzieś w głębi lodówki. - Nie, tylko przyschło. Cukinia - rozpoznała z trudem.

- Możemy już z tym skończyć? - spytał.

- Ze sprzątnięciem?

- Z tym przesłuchaniem. - Przeciągnął palcami po włosach. - I wstań z tej podłogi. Głupio mi, że wyciągasz śmieci z mojej lodówki, przecież ledwo się znamy.

- Powierzyłeś mi swoje dzieci, a nie chcesz, żebym zobaczyła bałagan w lodówce?

- Nie miałem wyjścia. - Skrzywił się. - Musiałem pokazać Bessy lekarzowi, a dopiero gdy załadowałem dzieci, zobaczyłem, że kombi ma przebitą oponę. Miałas zaraz nadjechać, a Ruby zapewniała, że jesteś godna zaufania.

- I dlatego zostawiłeś mnie z nimi na pół dnia?

- Nie! - krzyknął tak głośno, że na górze rozległo się kwilenie.

- Obudzisz Bessy - uciszyła go i zamilkli. - Zabierz to. - Wręczyła mu worek. - Bo zaraz samo wyjdzie.

Wyrzucił śmieci, popatrzył na rozgwieżdżone niebo i policzył do dziesięciu. A potem do stu. W końcu jednak musiał wrócić.

Shanni nadal grzebała w lodówce, widział tylko jeden opięty dzinsem pośladek. Przez kilka dobrych chwil podziwiał ten widok. Do licha, ponad roczna abstynencja sprawiła, że niemal zapomniał, jak wyglądają kobiety.

- Chcesz drinka? - zapytał.

- Alkohol?

- Nie mów tego tak, jakbym był miejscowym lumpem. Pozwalam sobie czasem na jednego drinka, gdy dzieci już śpią.

- Ej, nic takiego nie sugerowałam! W zasadzie uważam, że drink po takim dniu to niezły pomysł. I nie martw się, nie doniosę opiece społecznej, bo sama będę w to uwikłana - uśmiechnęła się.

Znowu go zaskoczyła. To był wspaniały uśmiech, szeroki, zaraźliwy, okraszony błyskiem w zielonych oczach. Skarcił się w myślach i dotknął ręką włosów. Nie pamiętał nawet, kiedy je strzygł. Dotąd nie miało to większego znaczenia, ale teraz... Obrócił się szybko na pięcie, przeszedł do salonu, wyciągnął butelkę whisky i napełnił dwie szklanki.

Kiedy wrócił, nadal siedziała na podłodze.

- Pomóc ci wstać?

- Nie. - Pokręciła głową. - Boję się, że jak wstanę, to już się potem nie zegnę.

- Lodówka może poczekać. I tak dużo zrobiłaś. - Nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Chyba, mimo wszystko, w tamtym bałaganie czuł się bardziej panem sytuacji.

- Naprawdę musisz tęsknić za żoną - powiedziała nagle, a on zamarł.

Uniosła się wreszcie z podłogi i wtedy się ocknęła.

- Przepraszam, nie chciałam cię zranić - zreflektowała się.

- Właśnie straciłam chłopaka i robię same głupoty. Przyleciałam do Australii i zapomniałam uprzedzić o tym rodziców, zastałam zamknięte drzwi i obcych ludzi we własnym domu, a rodzice byli już w Szwajcarii. Córce chyba mogli powiedzieć o takich planach?

- Nie byliście ze sobą zbyt blisko? - domyślił się.

- W tym właśnie rzecz! - Usiadła przy stole i upiła łyk alkoholu. - Myślałam, że byliśmy. Dzwoniłam do nich co tydzień i rozmawialiśmy o wszystkim. Mogli chyba wspomnieć, że wybierają się do Szwajcarii!

- Cóż, chyba tak. Więc straciłaś chłopaka?

- Tak. Niestety nadal żyje - mruknęła ponuro. - Poszedł do łóżka z modelką. W moim domu. Do mojego łóżka. - Zamilkła na chwilę, jakby wciąż miała przed oczami tamtą scenę. - A kiedy go nakryłam i wylałam na nich kubek zimnej wody, wyczyścił nasze konto. Ale mieliśmy mówić o tobie - zreflektowała się. - O pięciorgu dzieciach, zmarłej żonie i opiece społecznej. Mogą się do was dostać, w życiu nie widziałam takiego bałaganu.

- Dzięki - mruknął.

Uśmiechnęła się lekko i odstawiła szklanekę.

- Przepraszam, miałam ciężki dzień. Wylądowałam nad ranem, wzięłam taksówkę, pojechałam do domu, a tam natknęłam się na obcych. Potem samochodem ojca pojechałam do przyjaciółki, która zaoferowała mi materac na

podłódze, a w ramach rozrywki nieograniczony dostęp do pilota od telewizora. Wtedy przypomniałam sobie o liście Ruby. Przyjechałam tutaj i okazało się, że jesteś pogrążony jeszcze bardziej niż ja.

- Jaki jestem?

- Pogrążony w chaosie. Nie wiesz, co robić, a w tym stanie nie możesz dalej działać.

- Ej, nie dramatyzujmy. Po prostu zasnąłem na chwilę...

- Dzieci były przerażone. Kiedy przyjechała policja, były przekonane, że zaraz zabierze je opieka. - Zmarszczyła zabawnie nos i zamyśliła się na chwilę. - Tego właśnie nie rozumiem... Dlaczego opieka społeczna tak was ściga? Podpadłeś im jakoś? Gdybym ci powiedziała, ile razy moi rodzice mnie zgubili... Zresztą, mniejsza o to. Rozumiem, że po śmierci żony bardziej się wami interesują, ale zwykle nie zabierają dzieci ojcu.

- Cóż... - Wiedział, że ten moment nadejdzie, zresztą i tak nie zamierzał z niczego robić tajemnicy.

- Nie musisz się spowiadać - przerwała mu szybko. - Ale kiedy skrobałam twoją lodówkę, pomyślałam, że z różnych względów naprawdę powinnam stąd wyjechać. Tylko że nie mam dokąd. I nie mogę zapomnieć tego wzroku Wendy... I chociaż nic z tego nie rozumiem, stwierdziłam, że muszę się dowiedzieć, co tu się dzieje. Bo jeśli krzywdzisz te dzieci...

- To co zrobisz? - spytał z lekką kpina.

- Nie wiem - wyznała szczerze. - Ale nie rozumiem, czego dzieci tak bardzo się boją. Ty też zachowujesz się trochę dziwnie, choć mimo wszystko wyglądasz normalnie...

- Dzięki - zaśmiał się. - Nawet jeśli w wieku piętnastu lat miałem garnitur w paski?

- Nie zmieniaj tematu - odezwała się cicho. - Naprawdę chcę zrozumieć, co tu się dzieje, dlaczego dzieci są takie przerażone...

Długo wpatrywał się w szklanekę.

- Wy tłumaczenie jest zupełnie proste - odrzekł w końcu, patrząc jej w oczy. -
To nie są moje dzieci. Jeszcze rok temu nie miałem pojęcia o ich istnieniu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Zapadła długa cisza. Shanni słyszała pękające w ogniu szczapy drewna i bezsensownie pomyślała, że Pierce powinien puścić muzykę, bo atmosfera zrobiła się zbyt intymna. Ale może z muzyką byłoby jeszcze gorzej?

- Więc to nie są twoje dzieci? - powtórzyła niezbyt błyskotliwie. - Nawet zastanawiałam się, dlaczego żadne z nich nie jest podobne do ciebie. Zaparzę kawę - dodała po chwili.

- To nam dobrze zrobi. A ty opowiadaj.

Westchnął głęboko i przeczesał włosy palcami.

- Poślubiłem ich matkę - odparł - ale żadne z nich nie jest moje. Pobraliśmy się siedem miesięcy temu, wkrótce po narodzinach Bessy, trzy tygodnie przed śmiercią Maureen.

- Rozumiem - powiedziała słabym głosem.

- Czyżby? - wyrzucił z nagłym gniewem.

- Czemu się na mnie złościysz? Zajęłam się dziećmi i posprzątałam ci lodówkę - odezwała się takim tonem, że jego złość natychmiast opadła.

- Przepraszam.

- No, to brzmi dużo lepiej. - Postawiła na stole dwa kubki i dzbanek z kawą. Zupełnie bez sensu pomyślała, że Pierce mimo wszystko nieźle wygląda... Miała ochotę przejechać palcami po tych zmierzwiionych włosach. Przestań, skarciła się w duchu. - Opowiedz mi o Maureen - poprosiła.

- Była jakby moją przybraną siostrą...

- Ale przecież Ruby przygarniała wyłącznie chłopców - zdziwiła się Shanni.

- Myślisz, że kłamię? - spytał rozdrażniony. Machnęła lekko ręką.

- W ogóle staram się ostatnio nie myśleć, to boli - mruknęła bardziej do siebie

niż do niego. - Opowiadaj dalej.

- Po co? To chyba i tak nie ma sensu...

- Chcesz mnie podstępnie zmusić, żebym zamiast tego dokończyła sprzątanie lodówki - zaśmiała się. - Nie martw się, i tak dokończę. Mam fioła na punkcie dobrze wykonanej roboty. Ale na razie chciałabym dowiedzieć się, o co tu chodzi. - Upiła kilka łyków kawy i próbowała rozluźnić atmosferę. - Jesteś jednym z wychowanków Ruby. Pewnie nie miałaś łatwego życia...

- Zależy, jak na to spojrzeć... - Uśmiechnął się krzywo. - W przeciwieństwie do innych nie byłem sierotą. Miałem matkę, ale ona dawała mi do zrozumienia, że jestem jej pomyłką. Miała romans z bardzo zamożnym człowiekiem i zaszła w ciążę, bo myślała, że w ten sposób zmusi go do małżeństwa. Myliła się. Mój ojciec wszystkiego się wyparł. Był bogaty i wpływowy, a wtedy nie robiono jeszcze testów DNA, tak więc matka została załatwiona. Oddała mnie do domu opieki, ale za każdym razem, gdy się z kimś wiązała, zabierała mnie stamtąd, żebyśmy odgrywali szczęśliwą rodzinę. I właśnie jeden z jej szalonych związków złączył mnie z Maureen.

- Nie rozumiem...

- Bo nie wiesz, jakie szaleństwa przychodziły do głowy mojej matce. - Wzruszył ramionami. - Jack był chyba najgorszym z jej facetów, ale też miał dziecko: właśnie Maureen. Kiedy się poznali, ona miała dziewięć lat, a ja siedem. - Urwał na chwilę i zamyślił się.

- I co dalej? - ponagliła go.

- Ponura historia. Jack był sadystą, ale moja matka była zaślepiona. Wszyscy byliśmy uzależnieni od jego humorów i ataków szału. Maureen była starsza, twarda i lubiła mnie. Czasami myślę, że bez niej nie przetrwałbym tamtych lat. Mnie się podobało posiadanie starszej siostry, a Maureen uważała, że to fajnie mieć brata. Zresztą nie mieliśmy nikogo innego. - Znów pogрузzył się we wspomnieniach i nie zauważył emocji malujących się na jej twarzy. - To był najdłuższy ze związków matki. I za każdym razem, kiedy on... W każdym razie, Maureen zawsze mnie

bronila. Rzucała się na Jacka jak tygrysica i obrywała od niego tak samo jak ja. Ale przynajmniej wiedział, że ma przeciwko sobie nas dwoje.

- Dzielna dziewczyna - odezwała się Shanni drżącym głosem.

Kiwnął głową z bladym uśmiechem.

- Była wspaniała. Ale potem nasi rodzice się rozstali, a nas umieszczono w różnych ośrodkach opiekuńczych. Przez jakiś czas próbowaliśmy utrzymywać kontakt. Co kilka miesięcy dostawałem list opisujący kolejne zmiany w jej życiu. Ale nagle, krótko po tym, jak osiągnęła pełnoletność, listy ustały. W ostatnim z nich informowała mnie, że poznała mężczyznę swojego życia i wyjeżdża z nim do Perth.

- Kim on był? - spytała. - Ten facet jej marzeń.

- Nie mam pojęcia. - Wzruszył ramionami. - Ale Maureen zawsze była trochę dzika. Przeżyła swoje chwile szczęścia, a potem było z nią coraz gorzej...

- Co się stało? Wpadła w jakiś nałóg?

- Nie, to na szczęście nigdy jej nie groziło. Była cukrzykiem. Przez całe życie bardzo chciała mieć rodzinę, zresztą może to dlatego była tak opiekuńcza wobec mnie. I postanowiła urodzić dzieci, za wszelką cenę.

- Ale przecież cukrzycy...

- Właśnie. - Pokiwał głową. - Za każdym razem, kiedy była w ciąży, jej organizm płacił za to wysoką cenę. Ale z żadnego z nich nie chciała zrezygnować... Odnalazła mnie jakiś rok temu. Całkiem nieźle radziłem sobie jako architekt w Sydney i właśnie kupiłem to miejsce na weekendowe wypady. Byłem wówczas zagorzałym kawalerem, bardzo zadowolonym ze swojego życia. Ale właśnie wtedy nerki Maureen odmówiły dalszej pracy. Była w ciąży, której nie chciała usunąć, choć wiedziała, czym to grozi. Pewnego dnia zjawiała się w moim biurze i opowiedziała mi o swoim życiu. Na koniec poprosiła mnie o pomoc, choć wiedziałem, jak bardzo nie znosi prosić.

- Och, Pierce - westchnęła poruszona.

- Była tak chora, że musiała brać pod uwagę oddanie dzieci do ośrodka opiekuńczego - ciągnął. - A nie chciała, żeby dzieci miały takie życie jak ona. Stąd

jest tylko pół godziny do stacji dializ, zaproponowałem więc, żeby zamieszkała na farmie, jak długo zechce.

Zapadło milczenie.

- Zawsze uważałam, że jesteś miłym chłopcem - rzekła w końcu. - Mimo tego garnitur w paski.

Odwzajemnił jej uśmiech, ale widziała, ile kosztuje go opowiadanie tej historii.

- Tak więc Maureen z dziećmi zamieszkała tu. Już wtedy miałem kłopoty z sąsiadami. Zakochałem się w tym miejscu i kupiłem je znacznie powyżej wartości. Potem okazało się, że gdyby nie znalazł się nabywca, miała tu powstać lokalna inwestycja. Przeze mnie przepadła, a do tego sprowadziłem na farmę ciężarną matkę z czwórką chudych obdartych dzieci, sam zaś kłułem w oczy sportowym samochodem. Ponieważ Maureen nie była wylewna i nie opowiadała nikomu o swoim życiu, a mnie nikt o nic nie pytał, wkrótce zostałem osądzony i uznany winnym.

- Przykro mi - odezwała się ze współczuciem.

- Daj spokój. - Uśmiechnął się gorzko. - Uwierz, że sam sobie wystarczająco współczuję. W każdym razie, po urodzeniu Bessy, stan Maureen gwałtownie się pogorszył, a transplantacja się nie udała.

- Dlatego postanowiłeś ją poślubić? - spytała, niewiele z tego rozumiejąc.

- Widzisz, już wcześniej, gdy Maureen była chora, opieka społeczna interesowała się dziećmi, teraz więc zdwoili czujność. Nie wątpię, że naprawdę się o nie martwili. Ale ponieważ nikt mnie tu nie lubi, Maureen nie miała złudzeń, że po jej śmierci dzieci zostaną umieszczone w ośrodkach opiekuńczych.

- Może to nie byłoby najgorsze wyjście...

- Nie musisz mnie o tym przekonywać! - wybuchnął niespodziewanie. - I nie mów tylko, że rodziny zastępcze to najszlachetniejsi ludzie na świecie!

- O rany! Czyżbym trafiła w czuły punkt?

Odetchnął głęboko i zdobył się na przepraszający uśmiech.

- Wybacz. To rzeczywiście czuły punkt. Ale ja byłem sam, a tych dzieci jest pięcioro. Choć Maureen nie miała łatwego życia i często chorowała, wychowała je najlepiej jak umiała. Kochają się i wspierają. Nie chcę, żeby ktokolwiek je rozdzielił, a nie sądzę, żeby znalazła się rodzina zastępcza gotowa wziąć całą piątkę.

- Pewnie masz rację...

- W najlepszym razie wylądują w domu dziecka. Wiem, że Maureen nie chciałaby tego. Ja... też nie - przyznał cicho.

- Widziałaś Wendy. Długo trwało, zanim uwierzyła, że im pomogę. Nawet teraz nie do końca mi ufa.

- Więc poślubiłeś Maureen, żeby dzieci miały opiekę? - spytała z niedowierzaniem.

- Tak. Musieliśmy działać szybko, w przerwach między nawrotami choroby. Ożeniłem się z nią i formalnie adoptowałem dzieci, a Maureen ustanowiła mnie ich opiekunem prawnym. To żaden szlachetny czyn - zastrzegł szybko.

- Dobrze zarabiam, myślałem więc, że gdy dzieci trochę się oswoją z nową sytuacją, zatrudnię opiekunkę i kogoś do prowadzenia farmy, a sam będę dojeżdżał tu na weekendy.

- I dlaczego ten plan się nie powiódł?

- Nie masz pojęcia, jak trudno znaleźć kogoś do opieki nad piątką dzieci. Jedyne kandydatka wytrzymała dwa tygodnie. A potem mieliśmy epidemię ospy i w ogóle nie miałem do tego głowy. Wszystko zaczęło mi się walić na głowę i wtedy Ruby powiedziała, że przyśle tutaj „naszą Shanni”. - Uśmiechnął się lekko. - Oto cała historia. Dzięki temu mam chociaż sprzątniętą kuchnię, czystą lodówkę, no i nie odebrano mi dzieci. I za to jestem ci do zgornie wdzięczny. - Zamilkł na chwilę. - Boję się zapytać, ale w końcu muszę: zostaniesz z nami?

Westchnęła głęboko.

- Nie jestem gospodynią, ani tym bardziej wykwalifikowaną opiekunką. Dzisiejsze sprzątanie traktowałam jako terapię na depresję.

- Ruby wspominała, że jesteś artystką.

- Raczej bawię się malowaniem. Widziałeś moją krowę? Byłaby całkiem udana, gdyby nie to, że jedna noga wydaje się dłuższa od innych. - Zaśmiała się. - Rzeczywiście ukończyłam Akademię Sztuk Pięknych. Byłam kuratorem małej galerii w Sydney i jeszcze mniejszej w Londynie. Po jakimś czasie zebrałam wszystkie oszczędności, pożyczyłam pieniądze od rodziców i otworzyłam własną. Była niewielka, ale poświęcona takiej sztuce, jaką kocham. Nie dojeżdżałam, nigdzie nie wyjeżdżałam, wszystko inwestowałam w galerię.

- I co dalej?

- Jak już ci wspominałam, pewnego dnia przyłapałam mojego chłopaka, artystę, w łóżku z modelką. Ja oblałam ich wodą, a on wybrał wszystkie pieniądze z naszej karty kredytowej. Nie chciałam ryzykować utraty pieniędzy rodziców, więc zamknęłam interes.

- I postanowiłaś wrócić do domu?

- Tak. Resztę już znasz. Teraz pewnie pojedę do Ruby, znajdę szybko jakąś pracę i wynajmę mieszkanie.

- A nie myślisz, że kilka tygodni na wsi pomogłoby ci trochę odbudować równowagę wewnętrzną?

- Pewnie by pomogło, ale nie zamierzam przywiązywać się do tych dzieci - ostrzegła go. - Nawet nie myśl, że mogłoby to być rozwiązanie na dłuższą metę.

- Nie miałem tego na myśli...

- Nie przywiążę się do nich. Ani do ciebie.

Uff! Po co w ogóle to mówiła? Wypowiedziała te słowa, zanim zdążyła się zastanowić... Pierce wygląda na fajnego faceta, z tymi potarganymi włosami, nieogolony...

Dość! Miała ochotę walnąć się w głowę. Znowu ma zamiar pomylić miłość ze współczuciem!

- No więc nie zamierzam się do was przywiązywać tylko dlatego, że jestem wrażliwa - dokończyła.

- To jest nas dwoje - odparł.

I zanim zdążył dodać coś więcej, nad ich głowami rozległ się głośny płacz.

Pierce odstawił kubek i z westchnieniem wstał.

- Spała trzy godziny - mruknął. - I tak nie mogłem oczekiwać więcej.

- Co robisz?

- Utulę ją, aż z powrotem zaśnie - wyjaśnił.

- Ruby wspominała, że nie wyrabiasz się z pracą. Krzyki na górze nasiliły się,

Pierce ruszył więc ku drzwiom.

Przystanął jeszcze w progu i dodał:

- Shanni, bardzo mi dziś pomogłaś. Jeśli nawet wyjedziesz już teraz, nadal będę ci wdzięczny. Zastanów się, co robić, ale możesz chociaż zostać na noc.

- Wendy przygotowała mi łóżko w pokoju Maureen.

- Wendy chce, żebyś została, wiem. Ale nie naciskam. - Uniósł wzrok na sufit i, starając się przekrzyczeć płacz, zawołał: - Już, Bessy, już idę. Zostawimy Shanni w spokoju, żeby mogła się zastanowić.

- Ja... cóż, pomyślę o tym.

- O nic więcej nie śmiem prosić.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Po jego wyjściu zmyła jeszcze naczynia, dokończyła sprzątanie lodówki i włożyła do niej te nieliczne produkty, które nadawały się do zjedzenia. Potem przez ciemny dom przeszła do sypialni.

Na górze słyszała ciężkie kroki i ciche nucenie. To Pierce usypiał Bessy. Aż przystanąła, by posłuchać tych odgłosów. Pierce jest kawalerem, jeszcze niedawno nie znał żadnego z tych dzieci, mógł nie brać na siebie takich obowiązków i dalej wieść beztroskie życie.

- Miły z niego chłopak - skostatowała, kiwając głową.

To, co zrobił, jest niezwykle. Mogłaby mu pomóc... Tylko że zupełnie nie wiedziała, jak radzić sobie z dziećmi. I musi odbudować swoją karierę zawodową.

Wyobraziła sobie, jak chodzi w ciemnościach, z dzieckiem wtulonym w ramiona... To był bardzo pociągający obrazek.

Takie wizje oznaczają kłopoty, tyle przynajmniej powinna się nauczyć. Tu właśnie jest źródło zagrożenia. On jest bardzo atrakcyjny, a ona mu współczuje. Jeśli więc nie będzie ostrożna, skończy jako gosposia i opiekunka, a jedyną zapłatą będzie nadzieja na romans z szefem.

Ale przecież ten człowiek nie ma czasu nawet na romans, zreflektowała się. Nagle przez niedomknięte drzwi dobiegły do niej słowa wypowiedziane czułym tonem:

- Wiem, że swędzi, kochanie, ale spróbuj zasnąć.

Nie, nie jest atrakcyjny, zdecydowała. On jest po prostu cudowny. I obarczony piątką dzieci i mnóstwem obowiązków...

- No, idź do łóżka i przestań wreszcie o nim myśleć - nakazała sobie.

Podeszła do okna, by uchylić je na noc, i zamarła. Przed nią, w odległości kilkunastu centymetrów, stała krowa. Jakimś cudem udało jej się zachować ciszę i nie narobić krzyku. Bez paniki, powtarzała sobie, ta krowa jest na dworze, nie

wejdzie do środka.

- Wynocha! - usłyszała nagle przestraszony dziecięcy głos. - Wynoś się z naszego ogrodu!

Ktoś próbował mówić zdecydowanym tonem, ale w tym krzyku słycać było źle maskowany strach. Zaniepokojona wychyliła się z okna i dostrzegła drobną sylwetkę. To Donald, ten milczący i nieufny.

- Co tam robisz? - krzyknęła do niego. Krowa natychmiast odwróciła wielki łeb w jej kierunku.

- Chcę go wypędzić! - Donald starał się być odważny. - Zobaczyłem, że wchodzi do naszego ogrodu, i przestraszyłem się, że zje róże, które Pierce zasadził po śmierci mamy...

- Donald, jesteś za mały, żeby walczyć z tą krową.

- To byk - poprawił ją chłopiec.

- Tym bardziej - ucięła krótko.

Ona też grała odważniejszą, niż się czuła. Co miała robić?

Na górze Bessy wciąż zanosila się płaczem, nie chciała więc wzywać Pierce'a na pomoc. Musi poradzić sobie sama.

- Donald, wskakuj na werandę! - zawołała. - Ja się tym zajmę.

Łatwo powiedzieć. Jedyne, co choć w minimalnym stopniu upodobniało ją do kowbojki, to znoszone džinsy.

Szybko przeszła przez pogrążony w mroku dom i dotarła do ogródka. W świetle księżycy zobaczyła zarys wielkiego byka. Był ogromny. Zbliżała się do niego powoli, usiłując opanować strach.

Nagle coś świsnęło blisko jej ucha. Cokolwiek to było, musiało uderzyć też w byka, bo nagle ryknął głośno i poderwał się rozjuszony.

- Donald! - krzyknęła przerażona.

- Tak, Shanni... - dobiegł ją rozdygotany głos.

Spojrzała na zdezorientowane zwierzę i głos uwiązł jej w gardle. Byk kręcił się nerwowo, pochrząkiwał, a potem nagle spuścił łeb i ruszył naprzód.

Sama nie mogła potem uwierzyć w to, co zrobiła. Nie namyślając się długo, podbiegła do byka i z całej siły uderzyła go w bok. Zwierzę nawet nie zareagowało. Co się robi w takiej sytuacji?

- Uciekaj, Donald! - wrzasnęła, gdy byk, porykując, ruszył ku chłopcu.

Donald próbował wspiąć się na werandę, więc musi działać. Znowu ruszyła na byka, krzyczała co sił i waliła pięściami po potężnym karku. Wreszcie, w akcie rozpaczy, złapała za jeden z rogów. Zwierzę potrząsnęło łbem i w następnej sekundzie Shanni leżała półtora metra dalej.

Otworzyła oczy i z trudem uniosła się z ziemi. Ale to, co zobaczyła, przeraziło ją jeszcze bardziej. Byk najwyraźniej szykował się do kolejnego ataku. Zanim znowu upadła, poczuła silne uderzenie w ramię i ostry ból przeszywający jej ciało.

Na szczęście właśnie przybyła odsiecz. Usłyszała ostry męski głos, a potem zobaczyła Pierce'a przeskakującego przez werandę. Podbiegł do byka i wymachując czymś, co wyglądało jak strzelba, wypędził go z ogródka i zamknął w zagrodzie.

- Donald, wszystko w porządku? - dopytywał nerwowo, obejmując chłopca.

- Ja tak... Ale nie wiem, co z Shanni.

- Shanni? - zdziwił się Pierce. Podążył wzrokiem za gestem Donalda i w blasku księżyca dostrzegł jej sylwetkę. - Zostań tu i nigdzie się nie ruszaj! - nakazał chłopcu.

Podbiegł do niej, uklęknął, chciał ją podnieść delikatnie i nagle poczuł na dłoniach lepka ciepłą krew.

Wszyscy zebrali się w kuchni. Wendy tuliła Bessy, Donald usiadł obok niej, Abby wcisnęła się z drugiej strony. Bryce stwierdził, że powinni napić się czegoś ciepłego i zaczął przygotowywać kakao. Ręce mu drżały i nawet nie próbował tego ukryć.

Shanni też nie mogła się uspokoić. Pierce rozciął rękaw jej bluzy i odsłonił długą, na szczęście dość płytką ranę. Teraz przemywał ją wodą utlenioną, przeklinając coś pod nosem.

- Nie przy dzieciach - upomniała go szeptem.

- Jestem pewien, że zamykałem bramę - odparł cicho. - A łańcuch został przecięty. - Pokręcił głową z niedowierzaniem. - Nie podoba mi się to. Ten byk jest zwykle bardzo spokojny. - Opatrzył jej ranę i powiedział: - Nie wygląda to najgorzej, ale i tak uważam, że powinniśmy pojechać do szpitala.

- Nie możemy przecież zostawić dzieci samych! - zaprotestowała. - To pewnie nic takiego, po prostu zabandażuj ramię, to powinno pomóc. Prawda? - zwróciła się do Abby.

- Tak. I jeszcze żelkowe misie - dodała mała z miną znawcy. - Mamy żelki? - zwróciła się do Pierce'a.

- Nie - przyznał z żalem. - Moja wina.

- Co z ciebie za ojciec - oburzyła się Shanni. - Nie dostarcza na czas żelków? - zwróciła się do dzieci.

- Jest w porządku - bronił go Donald.

- Tak, ale chyba nie zawsze wie, co jest niezbędne w domu. Dajcie mi papier i coś do pisania - poprosiła. - A więc jaki będzie punkt pierwszy? Żelki?

- Ja bym potrzebował miotłę - wtrącił Pierce. - Stara poległa w walce z bykiem.

- Miotła? - zdziwiła się. - Myślałam, że to strzelba. No dobrze, wpisuję miotłę. Jeszcze bułki i kielbaski do hot dogów.

- Dlaczego?

- Bo jestem ranna i zamierzam korzystać ze wszystkich przywilejów tego stanu. A hot dogi to jedna z zachcianek chorego.

- Lubię hot dogi - nieśmiało mruknął Donald.

- W takim razie podwójna porcja wszystkiego - zdecydował Pierce. - Kupimy wszystko, gdy tylko dotrzemy do sklepu.

- Zróbcie to z samego rana, nie mogę się doczekać na moje hot dogi! Ty i Donald podjedźcie do miasteczka, a my z Wendy zaopiekujemy się domem.

- To znaczy, że zostajesz? - spytała nieśmiało Wendy, a wszyscy wstrzymali oddech.

Co miała odpowiedzieć? Rozejrzała się i zobaczyła pięć par pełnych oczekiwania, przestraszonych oczu. W sumie sześć, licząc Pierce'a, który udawał obojętnego.

On też potrzebuje pomocy, pomyślała, ale szybko się za to zbesztła. W końcu jednak, nie patrząc na Pierce'a, powiedziała:

- Jeśli nie macie nic przeciwko temu, to tak. Przyjechałam tu leczyć zranioną duszę, a teraz doszło do tego jeszcze zranione ramię. To może trochę potrwać...

Jakiś czas potem Pierce zagonił wreszcie całe towarzystwo do łóżek, a Shanni siedziała w kuchni, grzejąc się przy ogniu. Słyszała głosy dzieci pytające o coś i mrukliwe odpowiedzi Pierce'a.

Sama też powinna się położyć, ale była zbyt roztrzęsiona. Tyle się dziś zdarzyło... Nawet życie w Londynie nie przyzwyczyło jej do takiego natłoku wydarzeń.

Po chwili w kuchni pojawił się Pierce.

- Dlaczego nie idziesz do łóżka? - spytał.

- Myślę... - mruknęła. - Nie rozumiem tej historii z bykiem. Mówiłeś, że brama była zamknięta?

- Jestem pewien - potwierdził zdecydowanie. - Zawsze to sprawdzam. Poza tym on się nie zerwał: ktoś przeciął łańcuch, a potem specjalnie go rozdrażnił. Ma małe ranki na boku, jakby ktoś strzelał do niego z wiatrówki, dlatego tak zaatakował. Zwykle jest bardzo spokojny.

- To przestępstwo! - zawołała oburzona.

- Pewnie założyli, że to ja zajmę się rozdrażnionym bykiem.

- Aż tak cię nienawidzą?

- Po prostu mnie nie znają. - Wzruszył ramionami. - Dla nich jestem bogaczem z innego świata, przez którego stracili inwestora. A do tego opieka społeczna podejrzewa, że zaniedbuję dzieci. Nie dziwię się, że nikt mnie tu nie darzy sympatią. Chcieliby, żebym spakował walizki i wyjechał.

- Czemu więc tego nie zrobisz? - zapytała. - W mieście łatwiej byłoby ci

znaleźć opiekę do dzieci, zresztą i tak pół dnia spędzałyby poza domem, a ty spokojnie mógłbyś zająć się pracą.

- Nie sądzę, żeby to funkcjonowało aż tak dobrze. - Pokręcił głową z powątpiewaniem. - Zresztą Maureen zależało na tym, aby dzieci dorastały poza miastem. Szczerze mówiąc, ja też wolałbym tu zostać, o ile tylko uda mi się jakoś to wszystko zorganizować.

- Cóż, masz mnie, chociaż na jakiś czas.

Po tych słowach zapadła nieoczekiwana cisza.

- Ej, właśnie zaoferowałam ci pomoc! - zawołała. - Mógłbyś mruknąć chociaż „dziękuję”. Od dziś masz prawdziwy skarb - zażartowała. - Jeśli chcesz, oczywiście.

- Chcę - powiedział z taką mocą, że zamrugła oczami, a potem się uśmiechnęła.

- No to rozchmurz się wreszcie. Masz gosposię, która zajmie się tym wielkim domem i gromadą dzieci. Powinnam sobie z tym poradzić, a mam nadzieję, że nie chcesz nadal powiększać rodziny. - Chciała, by zabrzmiało to lekko i żartobliwie, ale jego reakcja była zupełnie nieoczekiwana.

Drgnął lekko, przeniósł na nią mroczne spojrzenie i powiedział:

- Nigdy nawet nie myślałem o tak dużej. Żony też nie potrzebuję.

Do licha, o czym on w ogóle mówi.

- Dobrze, że uprzedzasz - wycodziła ze sztucznie słodkim uśmiechem. - Już słyszałam dźwięk dzwonów i planowałam przyjęcie weselne.

- O rety, Shanni, przepraszam. Nie chciałem...

- Nie ma sprawy. - Machnęła ręką. - Chyba na jakiś czas mam dość planowania wesel i układania listy gości.

- Przez tego mokrego Mike'a... - domyślił się.

- Tak - przyznała. - Mam dość związków i nie chcę się teraz w nic angażować.

- Ale powiedziałaś dzieciom, że zostajesz...

- Na trochę - uściśliła. - Spróbuję w tym czasie nie przywiązywać się do nich zbyt mocno. - Wzięła głęboki oddech i dodała otwarcie: - Szczerze mówiąc, ja też mam

problemy i pobyt tutaj dobrze mi robi. Na bilet do domu wydałam ostatnie pieniądze. Rodzice wyjechali i nie bardzo mam się gdzie podziąć, chyba że Ruby zgodziłaby się mnie przygarnąć, ale u niej zawsze było ciasno.

- Teraz Ruby ma apartament na ostatnim piętrze z cudownym widokiem na zatokę - powiedział z dziwnym uśmiechem.

Drgnęła zaskoczona. Ruby ma ekskluzywny apartament? Zupełnie to do niej nie pasuje.

- Złożyliśmy się i kupiliśmy jej mieszkanie - wyjaśnił, widząc jej zdumienie. - Dostała apartament na urodziny, pod warunkiem, że nie będzie tam przygarniała wszystkich potrzebujących.

- Pod warunkiem... - powtórzyła kpiąco.

- Tak. Uznaliśmy, że czas ją chronić przed nią samą. Wiesz, jaka ona jest.

Pewnie tobie też od razu zaproponowała mieszkanie?

Kiwnęła głową z westchnieniem.

- W każdym razie, dopóki nie znajdę pracy, nie mam gdzie mieszkać. A obawiam się, że mogę mieć problemy z nową posadą. Świat sztuki jest dość mały, a złe wieści szybko się rozchodzą, więc pewnie wszyscy już wiedzą, że moja galeria padła.

- Zostajesz więc z nami? - upewnił się.

- Na jakiś czas.

- Hm - odchrząknął lekko. - Może w takim razie lepiej będzie, jeśli powiem to już teraz... Nie zamierzam angażować się w żaden związek.

- O co ci właściwie chodzi? - spytała zirytowana. - To już drugi taki komentarz. Boisz się, że rzucę się na ciebie?

- Nie, ja... - zaczął, lekko zmieszany.

- Nie obawiaj się, nie zamierzam. Co ja tu robię? - mruknęła do siebie zdegustowana. - Proponuję, że zajmę się domem i dziećmi faceta, który boi się, że będę go molestowała! Chyba jestem szalona!

- Więc czemu to robisz?

- Bo Donald wolał raczej walczyć z bykiem, niż oderwać cię od chorej siostry
- wyjaśniła coraz bardziej rozdrażniona.

- Bo Wendy chyba zapomniała, jak to jest być dzieckiem. Bo ten dom to jeden wielki chaos. A ja potrzebuję pracy, więc mogę chociaż robić coś wartościowego. Mówiłeś, że dobrze ci się wiedzie...

Zmiana tematu była tak nagła, że przez chwilę nie był pewien, czy dobrze zrozumiał.

- No, tak - przyznał w końcu.

- Stać cię na to, żeby zabrać nas wszystkich nad morze?

- Dlaczego nad morze? - zdziwił się.

- Bo te dzieci wyglądają, jakby czekały, że w każdej chwili świat zawali im się na głowę. Pewnie od śmierci matki nigdzie stąd nie wyjeżdżały. Poza tym są wakacje.

- Jak niby wyobrażasz sobie wyprawę z piątką dzieci, w tym jednym chorym?

- Pojadę z wami - zapewniła. - Dzieci odpoczną po chorobie, a ty będziesz mógł popracować.

Westchnął lekko. Praca... Niemal o niej zapomniał.

- Tutaj nie ma szans, żebyś spokojnie pracował - ciągnęła.

- Wynajmijmy dwa apartamenty przy plaży, ja mieszkałabym z dziewczynkami, a ty z chłopcami. W ciągu dnia dzieci mogłyby być ze mną, a ty miałbyś czas na pracę. W porządnym ośrodku powinni być nawet jacyś animatorzy zabaw, więc byłoby jeszcze prościej. O tak... - westchnęła z rozmarzeniem. - Tydzień czy dwa nad oceanem dobrze by mi zrobił...

Zerknął na nią podejrzliwie.

- Planujesz te wakacje ze względu na siebie czy na dzieci?

- Na dzieci, oczywiście, ale ja też cieszyłabym się z wyjazdu. Po tej całej historii z Mike'em zachorowałam. Przez trzy tygodnie leżałam w łóżku i obiecywałam sobie, że gdy wyzdrowieję, pojadę nad ocean. Moi rodzice mieli domek na plaży i mam stamtąd mnóstwo miłych wspomnień. Kiedy dziś ten byk

mnie atakował, jedyne, o czym byłam w stanie myśleć, to że nie udało mi się wyjechać nad ocean.

Wyraz jego twarzy trochę złagodniał, a na usta wypłynął ciepły uśmiech.

- Mogę pożyczyć ci pieniędzy, żebyś spełniła swoje marzenia - zaproponował.

- A nawet nie, za to, co dziś dla nas zrobiłaś, chętnie zafunduję ci małe wakacje.

Zasłużyłaś sobie na to.

- O nie! - zaprotestowała. - Albo jedziemy wszyscy, albo nikt.

- Przecież nie chcesz przywiązywać się do tych dzieci.

- To prawda, ale tydzień czy dwa jakoś wytrzymam, trzymając uczucia na wodzy.

Długo wpatrywał się w nią z namysłem.

- Naprawdę muszę popracować - przyznał w końcu. - Jeszcze chwila, a stracę ważnego klienta, a wtedy nasza sytuacja może być niewesoła. Powinienem pracować teraz nad dużym zleceniem, ale zupełnie nie mam na to czasu.

- Moglibyśmy jakoś zorganizować się tutaj - rzekła zamyślona. - Ale uważam, że taki wyjazd dobrze by dzieciom zrobił. Zwłaszcza Wendy, ona zdecydowanie powinna mieć czas na zabawę.

- Myślisz, że tego nie widzę? - obruszył się. - Ale jak mam zorganizować taką wyprawę?

- Ja to załatwię. Przeszukam internet i na jutro wszystko będzie gotowe.

Tym razem wpatrywał się w nią jeszcze dłużej. Nie wiedziała, czy próbuje zajrzeć w głąb jej serca, czy sam potrzebuje czasu do namysłu.

- Przekonałaś mnie - powiedział w końcu, tak cicho, że ledwo go usłyszała. - Kiedy dzieci wstaną...

- Zaczynamy się pakować! - zawołała z entuzjazmem. - Napraw oponę.

Weźmy też...

- Zaplanujemy wszystko rano - przerwał jej z uśmiechem. - A teraz naprawdę czas do łóżka. Ciągłe się trzęsiesz.

- Bliskie kontakty z bykami trochę wytrącają mnie z równowagi - przyznała z

godnością.

- Każdego by wytrąciły. Mógł cię zabić.

- Takie uwagi nie pomagają mi się opanować - skrzywiła się lekko.

Przez chwilę wahał jakąś decyzję, a potem, nim zdążyła zareagować, wziął ją na ręce i uniół z krzesła.

- Zaniosę cię do łóżka. Ale nie do sypialni Maureen, mogłabyś czuć się tam samotnie i nieswojo. Będiesz spać w pokoju Wendy, tam jest zapasowe łóżko.

- Ej, puść mnie - zaprotestowała. - Jestem dorosła! Mogę spać sama i nie trzeba nosić mnie do łóżka!

Miała wrażenie, że w ogóle nie słyszał jej protestów. Westchnęła zrezygnowana. W końcu co za różnica, gdzie spędzi te kilka godzin snu?

Otworzył cicho drzwi do pokoju i posadził ją na posłaniu.

- Pomóc ci się rozebrać? - spytał szeptem.

- Poradzę sobie - odpowiedziała szybko.

Nagle ta ciepła atmosfera, która wytworzyła się wcześniej między nimi, ustąpiła miejsca napięciu. Pierce cofnął się zmieszany, widząc jej zakłopotanie, i na palcach przeszedł do swojego pokoju.

Bessy spała spokojnie. Wiedział, że powinien pójść w jej ślady, ale nie potrafił. Za dużo się dziś wydarzyło. Serce nadal mocno mu waliło i sam już nie wiedział dlaczego. Kiedy zobaczył krew na ubraniu Shanni, spodziewał się najgorszego. I chociaż do tej pory powinien już się uspokoić, nie potrafił wyciszyć emocji.

- Nie potrzebuję kolejnej osoby, o którą będę musiał się troszczyć - mruknął do Bessy.

Ale ona nie jest dzieckiem, przebiegło mu przez myśl. To dorosła kobieta, samodzielna, inteligentna, pomocna...

Nie mógł przestać o niej myśleć. Zjawiała się nagle, wyratowała go z kłopotów, posprzątała kuchnię, wyczyściła lodówkę, a na koniec jeszcze uratowała Donalda. Nie, to zdecydowanie nie jest bezradna kobietka. Nie chciał dłużej o niej myśleć.

Myśli o niej budzą w nim emocje, a on nie potrzebuje więcej kłopotów. Ostatnio popełnił dwa duże błędy, i to naprawdę dość.

Pierwszym był zakup tego domu. A drugim zgoda, by zamieszkała w nim Maureen z dziećmi.

Nie może się dziwić, że teraz jego życie niemal się wali. Brakuje mu czasu na pracę i jest o włos od stracenia dobrego zlecenia.

W tym punkcie Shanni niewątpliwie ma rację. Gdyby wyjechali, mógłby spokojnie popracować. Ale w obecnej chwili nie mógł sobie pozwolić na wynajęcie dwóch apartamentów na kilka dni.

Nagle go olśniło - zamek!

Drgnął tak gwałtownie, że obudził Bessy. Uśmiechnął się do niej i wziął ją na ręce.

- Doskonały pomysł, nie sądzisz, moja droga? - spytał cicho. - Tam dzieci będą mogły poszaleć, ja popracować, a Shanni ukoić emocje. I ja na to wpadłem! - zakończył z dumą.

Nie wiedział tylko, jak uda mu się trzymać uczucia na wodzy wobec nowej opiekunki. Cóż, będzie musiał się kontrolować...

- To sprzedaż wiązana - mruknął do Bessy. - Ruby twierdzi, że tam dzieją się cuda. Zobaczymy, czy ma rację...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kiedy się obudziła, pokój był pusty. Wpatrywała się w sufit, obserwując poranne promienie słońca prześwitujące przez żaluzje. To był przemiły sielski domek. Rozumiała już, dlaczego Pierce go uwielbiał. To jest prawdziwy dom. Dom, którego nigdy nie miał.

A przecież nie chciał żadnych zobowiązań, nie chciał małżeństwa. Jednak wyglądało to tak, jakby kupił ten dom specjalnie po to, aby dzieci miały gdzie zamieszkać.

Pierce... miły chłopak, pomyślała na wpół obudzona. Naprawdę miły. Tak, ale Mike też wydawał się miły, natychmiast sobie przypomniała. A do tego Pierce ma pięcioro dzieci. Związek z nim byłby jak skok do wodospadu głową w dół.

Po prostu pomoże mu trochę, odpocznie, zapomni o Mike'u, a potem zajmie się swoimi sprawami. Ech, pora pewnie wstać. Przeciągnęła się leniwie i niemal zamarła w tej pozycji. Wczoraj myślała, że ma tylko płytkie zadrapanie. Dziś nie wygląda to już tak różowo. Spróbowała się podnieść, ale jęknęła tylko głucho i opadła na łóżko.

Coś stuknęło przy drzwiach i zobaczyła, że w progu stoi Pierce, a za nim gromadka dzieci.

Jej pierwszą myślą było, że się ogolił. Miał na sobie jasne lniane spodnie i oliwkową koszulkę polo. Rzeczywiście, ogolony wyglądał całkiem nieźle.

- Już dziewiąta - odezwała się Wendy. - Pierce mówił, żeby cię obudzić.

- Za pół godziny mamy wizytę u lekarza - wyjaśnił. - Inaczej dalibyśmy ci pospać.

- A opony wróciły już z naprawy i możemy jechać wszyscy razem! - krzyknął Bryce.

- Jak ręka? - spytał Pierce.

Skrzywiła się w odpowiedzi, a na jego twarzy pojawił się wyraz z troskaniem.

- Chyba potrzebuję środków przeciwbólowych.

- Więc tym bardziej powinniśmy pokazać to lekarzowi. Wstawaj. Potrzebujesz pomocy przy ubieraniu?

- Nie! - zaprotestowała szybko.

- Wendy zostanie i ci pomoże - zarządził, nie zważając na jej protest. - A reszta zrobi śniadanie. Bryce, dziś twoja kolej przy tosterze. - Uśmiechnął się do niej i sprawił, że serce jej zadrżało. A potem dodał mimochodem: - I załatwiłem wyjazd nad ocean. Myślę, że znalazłem odpowiednie miejsce.

- Jedziemy do zamku! - wykrzyknął Bryce, zanim zdążyła odpowiedzieć. - Nad Zatokę Delfinów. Dziś robimy tu hot dogi, a jutro, jak Pierce znajdzie kogoś do opieki nad farmą, jedziemy!

Ramię naprawdę ją bolało. Z trudem się umyła i wyciągnęła z walizki świeże ciuchy. Bolało przy ubieraniu, bolało przy śniadaniu i bolało, gdy szła do samochodu. Nieustannie czuła na sobie wzrok Pierce'a, starała się więc być dzielna i nawet gawędziła z dziećmi, ale ledwo wytrzymała jazdę po wyboistej drodze. Kiedy zatrzymali się przed gabinetem, Pierce pomógł jej wysiąść.

- Dzielnie się trzymasz - powiedział miękko. - Do licha, trzeba było wezwać karetkę!

Nie odpowiedziała, wstrząśnięta jego dotykiem i spojrzeniem. Był wspaniały już wtedy, kiedy miał piętnaście lat, i nic się nie zmieniło.

Wysadził z samochodu resztę dzieci i teraz cała ekipa zaczęła się tłoczyć wokół niej.

- Co wy robicie? - spytała zdumiona.

- Jak to co? Idziemy z tobą do lekarza - wyjaśnił Bryce.

- Ktoś musi przecież trzymać cię za rękę, jak będziesz miała zastrzyk - dodała Abby.

- Eee... poradzę sobie - odparła niepewnie. Nie była przyzwyczajona do takiej asysty w najbardziej prozaicznych sytuacjach.

- W porządku. - Pierce uśmiechnął się ze zrozumieniem. - My pojedziemy na

zakupy, a ty możesz iść sama. Ale chcę potem usłyszeć prawdę o tym, co powiedział doktor.

Nie mogła jednak powiedzieć mu wszystkiego, co usłyszała w gabinecie. Lekarz najpierw obejrzał ranę, opatrzył ją fachowo, stwierdził, że może boleć jeszcze przez kilka dni, i przepisał środki przeciwbólowe, a potem zajął się poważniejszym tematem.

- Czy ten człowiek jest szalony? - burknął z niechęcią. - Zostawił byka luzem?

- Ktoś przeciął łańcuch i rozdrażnił byka - tłumaczyła. - Jeśli było w tym jakieś zaniedbanie, to tylko takie, że Pierce nie zadzwonił na policję.

- Słusznie - zgodził się doktor. - Ale to nie MacLachlan powinien wzywać policję, tylko pani. - Skrzywił się i sięgnął po słuchawkę. - Nie pozwolę, żeby dzieci były narażone na takie niebezpieczeństwo!

Zareagowała, nim zdążyła pomyśleć. Szybko położyła dłoń na telefonie i nie pozwoliła mu zadzwonić.

- Może pan policzyć mi więcej za długą wizytę - powiedziała wolno. - Ale właśnie zostałam opiekunką tych dzieci i dlatego musi pan być ze mną szczery. Dlaczego uważa pan, że Pierce jest złym ojcem?

Zakupy w markecie nigdy nie były jego ulubionym zajęciem. Zwłaszcza tu. W tym małym miasteczku nawet sklepy są jakieś inne. Może to dlatego, że pełno w nich jest tych ciekawskich, niezyczliwych małomiasteczkowych ludzi. Nawet dzisiaj kilka matron zdążyło już zmarszczyć nosy z dezaprobatą na widok ich gromadki. Gdzie się podziała słynna wiejska gościnność, pomyślał z ironią. Może to i dobry pomysł, żeby wybrać się nad ocean?

- Może mi pani powiedzieć, gdzie znajdę bułki do hot dogów? - spytał kobietę w średnim wieku.

- Regał dziesiąty - rzuciła mało przyjaźnie.

- Regał trzeci! - usłyszał nagle głos Shanni i zdumiony rozejrzał się, by zobaczyć, skąd dobiega.

Stała na środku alejki handlowej i trzymała w ręku mikrofon, przez który

zwykle ogłaszano promocje.

- Bułki są w regale trzecim - powtórzyła głośno. - Ta kobieta kłamie. - Rozejrzała się, a widząc, że wszyscy patrzą na nią zaskoczeni, podjęła odważnie: - Uwaga, uwaga! Słuchajcie wszyscy, mam ważne ogłoszenie! Wielu z was nie zna Pierce'a MacLachlana. - W tym momencie Pierce miał ochotę podbiec i wyłączyć jej mikrofon, ale zszokowany nie był w stanie zrobić nawet kroku. - To ten, co kupił farmę za miastem - ciągnęła Shanni. - Pierce jest architektem, znalazł ogłoszenie o sprzedaży farmy i kupił ją. Nie wiedział, że ten teren miała wykupić wielka korporacja i zbudować tam fabrykę. W rezultacie fabryka powstała gdzie indziej, a wy nie zarobiliście. Pierce nie miał o tym wszystkim pojęcia, nie możecie go o to winić!

Gwar w sklepie powoli zamierał. Ludzie stojący najbliżej Pierce'a wpatrywali się w niego i dzieci bez skrepowania, reszta z wyczekiwaniem patrzyła na Shanni.

- A potem zaprosił na farmę swoją przybraną siostrę z czwórką dzieci. Maureen była wtedy w ciąży i wiedziała już, że niedługo umrze.

Zamilkła na chwilę, a wtedy młody sprzedawca podszedł do niej z groźną miną, ale starsza kobieta chwyciła go za ramię.

- Zostaw ją, Dwayne, chcę to usłyszeć - oznajmiła.

- W takich okolicznościach - ciągnęła Shanni - na farmie pojawiła się Maureen z dziećmi. Była w rozpaczliwej sytuacji, ale to już inna sprawa. Nie osądzajmy jej, zmarła kilka miesięcy temu.

- To wiemy! - krzyknął ktoś z tłumu.

- Więc powinniście się wstydzić! - zawołała. - Skoro sami nie chcieliście poznać rodziny Pierce'a, ja wam o nich opowiem. Te dzieci... są wspaniałe. Wendy ma tylko jedenaście lat, a opiekuje się rodzeństwem jak mała matka. Każde z nich - Wendy, Bryce, Donald i Abby - troskliwie opiekowało się chorą matką i sobą nawzajem. A teraz zostali sami. Opieka społeczna wiedziała, że Maureen jest ciężko chora, i rozumiem, że była zaniepokojona. Maureen bała się, że po jej śmierci dzieci zostaną rozdzielone i dlatego błagała Pierce'a o pomoc. Nie był ojcem tych dzieci,

ale miał wielką farmę i wielkie serce. Dlatego ożenił się z Maureen i adoptował dzieci, żeby ich nie rozdzielono.

Zapadła cisza. Ludzie nie sądzili, że tak właśnie to wygląda. Pierce pomyślał zgryźliwie, że pewnie woleliby bardziej pikantną wersję o zaniedbanych dzieciach i ojcu rozbijającym się sportowym samochodem.

- Wiecie, ja wychowywałam się w mieście - podjęła znowu Shanni. - Kiedy miałam siedem lat, moja mama ciężko zachorowała i przez kilka miesięcy musieliśmy z tatą radzić sobie sami. Pamiętam z tamtego okresu wspaniałych ludzi, naszych sąsiadów, którzy zorganizowali pomoc i przynosili nam posiłki. Nawet teraz, po tylu latach, wzrusza mnie ich troska. A co z wami? - spytała smutno. - Czy staraliście się jakoś pomóc tej rodzinie? Donosiliście tylko opiece społecznej. A wczoraj ktoś stwierdził, że całonocna opieka nad chorym dzieckiem to za mało, i postanowił zapewnić Pierce'owi dodatkowe atrakcje.

- Shanni! - Pierce zrobił krok do przodu, ale Wendy go powstrzymała.

- Niech to powie, tato. Niech wiedzą, co się stało.

- Ktoś przeciął łańcuch i wpuścił byka do ogrodu - mówiła Shanni drżącym głosem. - Pewnie liczył, że to Pierce zejdzie na dół, strzelił więc kilka razy z wiatrówki i rozjuszył zwierzę. Ale Pierce musiał zajmować się chorą Bessy, a więc Donald postanowił sam powstrzymać byka. - Teraz w tłumie zaszumiało. Wszyscy posykiwali z oburzeniem i w ostrych słowach mówili, co o tym myślą. - Jestem starą przyjaciółką rodziny Pierce'a i przyjechałam mu pomóc. Na szczęście byłam na dole. Usłyszałam Donalda i zdążyłam dobiec, zanim byk zaszarżował. Mam teraz ranę w ramieniu, ale wolę nie myśleć, co by się stało, gdyby mnie tam nie było i wściekły byk miał przeciwko sobie tylko drobnego siedmiolatka.

- Shanni, daj spokój! - Pierce zdecydowanie ruszył w jej kierunku.

- Już kończę - zapewniła go. - Zresztą i tak jutro wyjeżdżamy. Ale za dwa tygodnie wrócicie i nie chcę, żebyś żył w miejscu, gdzie wszyscy sąsiedzi są przeciw tobie. Dlatego postanowiłam wyjaśnić sytuację. Dziękuję za uwagę - zwróciła się do tłumy. - To już wszystko. Dwayne, możesz znowu ogłaszać promocję na

proszek do prania.

Odłożyła mikrofon i stanęła przed Pierce'em.

- Musiałam to powiedzieć - szepnęła. - Kiedy usłyszałam od doktora, co ludzie w miasteczku o tobie myślą, strasznie się rozzłościłam. Pomyślałam, że muszą poznać prawdę. Możemy wracać, czy jesteś na mnie wściekły?

- Jestem wściekły.

W tej chwili podeszła do nich kobieta, która powstrzymała Dwayne'a.

- Jak pani ramię? - spytała przejęta.

Zobaczył, że wokół nich zgromadziło się kilka osób, wszyscy mieli pobladłe twarze.

- Niedługo się zagoi - odparła Shanni.

- Proszę dziś nie gotować, przyniosę wam lunch. Dora zwróciła się do kobiety obok - możesz zrobić ciasto?

- Ależ nie muszą panie...

- Przeciwnie, musimy. I szkoda, że robimy to tak późno.

Wracali do domu w milczeniu. Shanni siedziała z przodu, dzieci z tyłu i nikt nic nie mówił.

Pierce uśmiechnął się pod nosem. Zachowywała się jak lwica walcząca o swoje młode. Ten cały Mike miał szczęście, że skończyło się tylko na wiadrze wody.

- Co cię tak śmieszy? - spytała podejrzliwie.

- Myślałem o twoim byłym chłopaku... W sumie dlaczego po prostu nie dałaś mu w twarz?

- To nie dałoby mi takiej satysfakcji - przyznała z uśmiechem.

- Shanni... - odezwał się po chwili. - Jestem ci bardzo wdzięczny.

- Dlatego to zrobiłam - przyznała z zadowoleniem. - Wiesz, pomyślałam sobie, że jeśli chcesz wyjechać do tego zamku nad zatoką, to może mnie nie potrzebujesz. Doktor wspominał, że to świetnie przygotowany ośrodek, pewnie więc będą mieli fachową opiekę do dzieci. Ja mogłabym zostać tutaj, zająć się farmą, trochę

malować... no i pilnować byka - zakończyła.

- A jeśli tam też będą byki? - spytała Abby poważnie. - Kto wtedy uratuje Donalda? Musisz z nami jechać.

- Musisz - potwierdził Pierce. - Sama widzisz, że jesteś niezbędna. Farmą się nie zajmuj, znajdę kogoś, kto się nią zajmie. - Zaśmiał się lekko i dodał: - Nawet Ruby nie poradziłaby sobie lepiej niż ty.

- Nie porównuj mnie z Ruby - skrzywiła się. - Kocham ją, ale to niska i krępa starsza pani.

- A ty jesteś młoda, szczupła i milusia. - Dopiero gdy usłyszał własne słowa, uświadomił sobie, co powiedział.

- Nie jestem milusia! - oburzyła się. - Nie lubię pieszczot i przytulanek!

- Ale dlaczego? - zdziwiła się Wendy.

- Bo miałam chłopaka, który okazał się wrednym szczurem - wyjaśniła z westchnieniem. - I obiecałam sobie, że już nie będę się do nikogo przytulać.

- Mama mówiła, że Pierce też nie umie się przytulać - pisnęła Abby. - Musimy go nauczyć!

- Naprawdę masz z tym problem? - spytała go z ciekawością. - Ruby coś wspominała, że wszyscy jej synowie są upośledzeni emocjonalnie.

- No, dzięki.

- Hm, nie rozumiem jednej rzeczy - mruknęła zamyślona. - Dlaczego w ogóle kupiłeś tę farmę? Zupełnie mi to nie pasuje do całości.

Zaskoczyło go to pytanie.

- Przecież kiedy ją kupowałeś, nie wiedziałeś jeszcze o Maureen, prawda? - ciągnęła. - Pracujesz w wielkim mieście, odnosisz sukcesy, wiesz wygodne kawalerskie życie i nagle kupujesz farmę z pięcioma sypialniami, wielką kuchnią i trzema łazienkami. Tu są nawet trzy budy dla psów. Miałeś kiedykolwiek psa?

- Nie - przyznał niechętnie.

- No właśnie. A masz w ogóle przyjaciół?

Zawahał się i wzruszył ramionami.

- Kilku kolegów z pracy, jakieś niewiele znaczące znajomości. Ale nikogo tak bliskiego jak Ruby.

- A bracia? Twoi przybrani bracia? Tak samo. Szczerze mówiąc, Ruby uważa, że mieliście strasznie głupi pomysł z tym apartamentem. Po co jej luksusowe mieszkanie, którego nie może dzielić z innymi? Kto w ogóle wpadł na ten pomysł?

- Nie ja - przyznał.

Przez chwilę panowała cisza.

- Więc? - dopytywała się.

- Więc czy musisz rozwiązywać wszystkie zagadki świata? - mruknął wymijająco.

- Już rozwiązałam! - oznajmiła z satysfakcją. - Jesteś miły! Ruby już dawno mówiła, że jesteś miły.

- Pewnie mówiła tak o każdym z nas - bronił się.

- Nieprawda. Ruby ma dla każdego swoje etykiety. Nie znam was wszystkich, ale znam kategorie: milczący, niebezpieczny, dziki, głęboki.

- A ja jestem po prostu miły? - Skrzywił się rozczarowany.

- Ej, nie obrażaj się. To pochwała - tłumaczyła z zabawnym uśmiechem. - Więc kupiłeś tę farmę dla Ruby, tak? - stwierdziła nagle.

- Nie! - zaprzeczył.

- Oczywiście nie otwarcie, bo wiesz, że nigdy by jej nie przyjęła. Ale gdyby Ruby wiedziała o wielkim pustym domu, a jakieś dzieci akurat byłyby w potrzebie, zaraz by go zapełniła. Tyle tylko, że pierwsza zjawiała się Maureen.

- Nie kupiłem jej dla Ruby! - powtórzył, ale sam wiedział, że wypadło to mało przekonująco.

- Może sobie tego nie uświadamiałeś, ale tak właśnie było. Pewnie byłeś tym jedynym, który nie chciał kupować jej apartamentu, wiedziałeś, że to do niej nie pasuje. Ale, ale - przypomniała sobie nagle. - Dlaczego jej tutaj nie zaprosisz? Nadal chcesz ukrywać przed nią fakt, że masz pięcioro dzieci?

- To skomplikowane - mruknął.

- Jak chcesz, twoja sprawa. - Wzruszyła ramionami. - Ale nadal uważam, że teraz nie jestem ci już potrzebna. Nie muszę jechać z wami nad zatokę, poradzicie sobie beze mnie.

- Ależ musisz! Ty też powinnaś wypocząć - przekonywał. - Zresztą sama mówiłaś, że nie masz się gdzie podziać. Poza tym nad zatoką mogłabyś malować.

- To akurat prawda - przyznała. - Jeśli polegnę na tej krowiej nodze, stracę do siebie szacunek.

- Studiowałaś sztuki piękne?

- Studiowałam, ale nie pomogło mi to w karierze. Umiem dyskutować o wpływie gotyku na sztukę abstrakcyjną, ale nie umiem namalować krowy. Może powinnam dać sobie z tym spokój i zostać gospodynią domową. - Obróciła się i uśmiechnęła do Wendy. - Ale spróbuję jeszcze raz. Ogłoszę konkurs i zobaczymy, czyja krowia noga będzie najlepsza.

- Na plaży będziemy malowali ryby - odezwała się Abby.

- Albo syreny - zachichotała Wendy.

Był to tak zaskakujący dźwięk, że Pierce omal nie zjechał z drogi. Od śmierci Maureen nie słyszał śmiechu Wendy, a i wcześniej nieczęsto miał okazję.

Niesamowite! Ta kobieta jest... Aniołem! I niczym więcej, ostrzegł się stanowczo. Jest wspaniała dla dzieci i na tym powinno się skończyć jego zainteresowanie. Zachowa dystans, w końcu ma w tym dużą praktykę. Poza Ruby nigdy nie miał nikogo bliskiego.

Shanni ma uśmiech Ruby, stwierdził nagle. I jej sposób patrzenia na życie. To pewnie dlatego tak bardzo poruszyła jego emocje. Tak, to wszystko przez to, że jest podobna do Ruby.

Milczeli przez resztę drogi, a kiedy minął bramę, ze zdumieniem stwierdził, że wcale nie chce, by ta podróż się skończyła. Śmieszne. Dlaczego nagle uważa, że przejażdżka starym samochodem, z ranną kobietą i piątką dzieci to niezwykła przyjemność?

- A więc jutro chcesz się pakować? - odezwała się, kiedy wysiedli z

samochodu. - Wiesz... nie chciałam być zarozumiała, ale ja jestem kuratorem wystaw, a nie opiekunką do dzieci. Ta cała przygoda to tylko przerwa w mojej karierze. Więc nie zrozum mnie źle, ale gdybyś znalazł kogoś lepszego na moje miejsce, to się nie krepuj.

- Dzięki.

- Tylko nie jutro, bo mimo wszystko bardzo chciałam pojechać do tego zamku.

- My też! - Usłyszeli za sobą radosny chór i cała czwórka z piskiem pobiegła do wejścia.

Patrzył na to wszystko zupełnie oszołomiony. Czasami wciąż nie mógł uwierzyć w to, jak wygląda teraz jego życie. Wielka rodzina, której nie znał jeszcze przed rokiem, i atrakcyjna opiekunka do dzieci.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Obudziła się w środku nocy, niemal wyjąc z bólu. Jej ramię pulsowało i nie zamierzało przestać. Powinna wziąć kolejną dawkę środków przeciwbólowych.

Ostrożnie wstała z łóżka. Nadal spała w pokoju dziewczynek i nie chciała ich obudzić.

Cały dom pogrążony był w ciemnościach. Po cichu zeszła do kuchni, ale tu czekała ją niespodzianka. Na wielkim stole rozłożone były arkusze kalki, a nad nimi pochylał się Pierce. Miał na sobie piżamę, okulary na nosie i zmierzwione włosy. Ciekawe, czy w ogóle się kładł? Uniósł głowę, a wtedy drgnęła, jakby przyłapaną na podglądaniu.

- Ej, to chyba ja powinienem podskoczyć - zażartował. - Nieczęsto widzę tu w środku nocy kobietę w piżamie w prosiaczki. - Zdjął okulary i przetarł oczy. - Jak twoje ramię? Boli?

- Tak - przyznała.

Może wkładanie tej piżamy nie było najlepszym pomysłem, ale dostała ją w

prezencie od pracowników swojej galerii i miała ona dla niej wartość sentymentalną. Choć w tym momencie wolałaby mieć na sobie uwodzicielskie koronki zamiast rozkosznych prosiaczków.

- Jest wspaniała - odezwał się z uśmiechem.

On też wyglądał cudownie. Potargany, zmęczony, w piżamie, ale mimo wszystko niezmiernie pociągający. Musiała sobie przypomnieć, że jest tylko tymczasową gosposią. A do tego właśnie leczy złamane serce.

- W Londynie są bardzo modne - oświadczyła dumnie, wygładzając poły piżamy.

- Nie wątpię. - Uśmiechnął się znowu i serce jej zatrzepotało.

Nie myśl o jego uroku! Przestań!

- Usiądź bliżej ognia - zaproponował, przysuwając bujany fotel. - Zrobię ci kakao. - Odwrócił się i wreszcie odetchnęła swobodnie. Nie miała pojęcia dlaczego, ale jego uśmiech i spojrzenie przyspieszały jej tętno. - Nie powinnaś była brać tych wszystkich pigułek na pusty żołądek - ciągnął tymczasem. - Zaraz dostaniesz kakao i ciasteczka czekoladowe.

- Dzięki - mruknęła, starając się na niego nie patrzeć.

Ciepło kuchni, cisza i ta bliskość sprawiały, że wytworzyła się między nimi dziwnie intymna atmosfera. Wciąż czuła się trochę oszołomiona po silnej dawce leków i bała się, że za chwilę powie coś, czego będzie potem żałować.

- Wszystko załatwione - odezwał się, podgrzewając mleko. - Możemy wyjechać choćby jutro. Wystarczyło kilka telefonów do sąsiadów i znalazłem chętnych do zajęcia się bydłem. To dzięki tobie. - Uśmiechnął się do niej z wdzięcznością.

- Nad czym pracujesz? - spytała szybko.

- Projektuję stację kolejową. Chcesz zobaczyć?

- Oczywiście.

Przesunął plany w jej stronę i zaczął tłumaczyć:

- Na razie to tylko ogólny zarys koncepcji. Budynek dworcowy, perony, tory,

bocznice... To pewnie dla ciebie niezbyt interesujące.

- Skąd! To wspaniałe! - zaprotestowała. - Cały węzeł komunikacyjny zaprojektowany od podstaw - wyszeptała. - Czytałam gdzieś o konkursie na ten projekt.

- Tak. - Kiwnął głową. - Wygrała go moja firma.

Gwizdnęła z podziwem, niemal zapominając o bólu w ramieniu. Przesuwała kolejne arkusze i podziwiała zawile rysunki.

- Jesteś niesamowity! - przyznała w końcu.

- Wiem - potwierdził, stawiając przed nią kubek kakao i ciasteczka. - A do tego silny, odważny, przystojny i niezwykle skromny. A teraz bierz tabletki.

Połknęła je posłusznie, podczas gdy on szukał czegoś w stosie papierów. Po chwili wyciągnął jakąś kartkę.

- Dzwoniłem do Blake'a, to jeden z moich braci - wyjaśnił. - Opowiedziałem mu o postępkach tego twojego Mike'a...

- Nie miałeś prawa! - zawołała.

Dlaczego wtrącał się w jej życie?

- Zabawne. - Uśmiechnął się znowu. - Blake powiedział to samo. Dlatego też stwierdził, że jeśli ma cokolwiek zrobić, musi mieć do tego podstawy. Przefaksował formularz, masz to wypełnić i podpisać. Wtedy będzie mógł legalnie zająć się twoimi sprawami.

- Co może zrobić? - spytała z powątpiewaniem.

- Nie doceniasz go, to przecież jeden z chłopców Ruby - przypomniał skromnie. - Mówiąc między nami, Ruby jest przekonana, że kiedyś będziemy rządzić światem, niemal jak dynastia.

- To nie będzie takie proste, skoro żaden z was nie zamierza założyć rodziny - mówiła, wypełniając dokument. Nie wierzyła wprawdzie, by Blake zdołał odzyskać choć część pieniędzy, ale skoro chce spróbować... - Chyba że oprzecie tę dynastię na adopcji - kontynuowała. Byłby to świat rządzony przez ludzi bez matek...

Zamyśliła się nagle i dodała:

- W sumie... może to nie taki zły pomysł. Zrozumiał, o czym myśli.
- Ejże, nie dramatyzuj. Twój rodzice tylko wynajęli komuś dom!
- Razem z moimi rzeczami i ukochaną lalką z dzieciństwa! - rzekła rozżalona.
- To możemy załatwić. Sam, nasz kolejny brat, pracuje w służbach specjalnych. Wyniesie ci tę lalkę tak, że nikt nie zauważy.

Uśmiechnęła się i spojrzała na niego, po czym wbiła wzrok w płomienie tańczące w palenisku. Tak jest bezpieczniej. Wiedziała jednak, że on też na nią patrzy.

- Powinnaś iść do łóżka - odezwał się po chwili. Powinna, ale przy ogniu jest tak przyjemnie...

- Pójdę, jak zaczną działać leki - odparła. - Ale nie przeszkadzaj sobie, wracaj do pracy.

Znowu pochylił się nad planami i wkrótce był nimi tak pochłonięty, że zapomniał o jej obecności.

Podziwiała jego profil, skupione spojrzenie, ruch, jakim przeczesywał włosy w chwilach zamyślenia, i zastanawiała się, jak w ogóle zdoła wytrzymać te dwa tygodnie, które mają spędzić nad zatoką.

Choć, gdyby była rozsądna, w ogóle nie powinna tam jechać. Na zamku jest przecież fachowa opieka.

- Będę cię potrzebował - odezwał się tak nagle, że aż drgnęła. Nie przerywając pracy, kontynuował: - Donald ci ufa. To trudny dzieciak. Obserwuje mnie niemal od roku i nadal okazuje, że mnie nie potrzebuje. Tobie jednak zaufał od razu.

- To pewnie przez tę sprawę z bykiem - domyśliła się.

- Chyba tak... Biedny zwierzak - westchnął. - Rozdrażnili go i teraz nie może dojść do siebie. Zaprowadziłem go nawet do zagrody z jałówkami, to powinno nieco poprawić mu humor.

- Martwisz się o nastrój byka? - zdumiała się.

- To też kawaler - wyjaśnił i wrócił do swoich planów.

Nie miała pojęcia, czy to wreszcie pigułki zaczęły działać, czy też pomogło

kakao i ciepło ognia, w każdym razie nagle poczuła się senna.

- Nie jesteś kawalerem, tylko wdowcem - poprawiła go, ziewając. - To brzmi bardziej pociągająco.

- Tak sądzisz? - spytał zdziwiony.

- To prawda. Dużo bardziej pociągająco. - Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w ogień. - Widzę tam byka - odezwała się nagle sennym głosem. - Wielkiego rozjuszonego byka. Jak na corridzie. Chyba mogłabym go namalować.

- Nie wiem, co było w tych proszkach, ale lepiej idź już do łóżka - rzucił, patrząc na nią podejrzliwie. - Zresztą i tak rozpraszasz mnie w pracy.

- Sam się rozpraszasz - prychnęła lekko. - A ramię już mnie nie boli.

- Tym bardziej do łóżka, księżniczko - powiedział i bez wysiłku uniósł ją z fotela.

Bezwiednie zarzuciła mu ręce na szyję i mruknęła:

- Ruby ma rację, ty jesteś ten miły. I do tego ten w seksownej piżamie. Hm, a może napijemy się jeszcze whisky?

- Wtedy stałabyś się zupełnie nieobliczalna. Obiecuj, że nie weźmiesz kolejnej dawki tych pigułek, a ja jutro pogadam z doktorem.

- Nie złość się na niego. Nie masz nawet pojęcia, jak było mu przykro, kiedy się dowiedział, że to nie twoje dzieci. Myślał, że jesteś wyrodnym ojcem. Teraz, dla odmiany, uważa cię za bohatera.

Doszli właśnie do pokoju dziewczynek. Pierce ostrożnie położył ją na łóżku i okrył kołdrą. Potem próbował jeszcze zdjąć jej ręce z szyi, ale nie puszczała.

- Shanni, muszę iść.

- Wdowcy są bardzo, bardzo pociągający - szeptała.

- Podobnie jak artystki w piżamach w świnki. Dobranoc.

- Nie pocałujesz mnie na pożegnanie?

Czuła, że troszkę się cofnął, ale coś jej mówiło, że nie będzie w stanie oprzeć się temu zaproszeniu.

I wreszcie pochylił się nad nią. W jego założeniu to miał być krótki pocałunek,

ale nie pozwoliła odejść mu tak szybko. Znowu objęła go i przyciągnęła blisko do siebie. Niemal wtopiła się w jego usta. Całowała go długo i gorąco, jakby... jakby był jej mężczyzną.

Nagle oderwał wargi i wysunął się z jej objęć. Ułożył ją na poduszce i powiedział zdecydowanie:

- Nie.

- Ależ tak - wyszeptała. - Jesteś seksowny jak diabli.

Patrzył na nią w milczeniu, a po chwili ruszył ku drzwiom.

- Pocałuj mnie znowu - szepnęła, ale pokręcił głową.

- Musisz spać.

- Wcale nie - zaprotestowała jak rozkapryszone dziecko, które nie dostało zabawki.

- Ależ tak, księżniczko.

Miała wrażenie, że wcale nie chce stąd wychodzić. Najchętniej zostałby i spełnił jej prośbę.

- Pierce...?

Jego uśmiech zgasł.

- Dobranoc. I poproszę doktora, żeby zmienił ci leki. - A potem zamknął drzwi i wyszedł.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Podróż do zamku trwała niemal trzy godziny, a Shanni rumieniła się przez całą drogę. Miała za dużo czasu na myślenie. Jechała swoim samochodem, bo nie chciała dołączyć do radosnej grupki w wozie Maureen, by nie utknąć w obcym miejscu bez własnego środka transportu.

Donald chciał jechać z nią, zapakowali się więc do jej auta i ruszyli zaraz za wielkim kombi.

Nigdy więcej nawet nie spojrzyła na niebieskie tabletki, obiecywała sobie od rana. Skoro te cholerne proszki zmieniają jej zachowanie, mogłyby być przynajmniej na tyle przyzwoite, by zacierać wspomnienia, aby rano nie wiedziała, jaką idiotkę z siebie zrobiła. Głupie tabletki.

Zmusiła go, by ją pocałował, przypomniała sobie ze wstydem. W myślach odtwarzała pocałunek raz za razem. Obecność Donalda wcale jej nie pomagała. Nucił coś pod nosem, niemiłosiernie fałszując, i nie rozmawiał z nią, przez co nie mogła oderwać się od kompromitujących wspomnień.

Miała jechać za Pierce'em, ale sam widok tylnego zderzaka jego samochodu przyprawił ją o zawrót głowy. Została z tyłu tak bardzo, że gdy dotarła do miasteczka nad zatoką, Pierce'a nigdzie nie było widać. Niepokoiła się trochę, że będzie się martwił. Pokonała pierwszy zakręt poza granicami miasteczka i zobaczyła jego auto w zatoczce przy szosie. Owszem, wyglądał, jakby się martwił. Ale wtedy... zobaczyła zamek. Zwolniła i niemal odruchowo zjechała na pobocze.

- Rany! - jęknął Donald.
- Rany - zgodziła się.
- To prawdziwy zamek - stwierdził.
- Boję się - odparła Shanni.

Donald spojrzał na nią z powątpiewaniem.

- Moim zdaniem wcale nie jest straszny.

- Nie?

- Po prostu jest duży i spiczasty, jak w książkach Abby. Na pewno nie ma tam żadnych duchów. Ale Abby się spodoba.

A komu by się nie spodobał, pomyślała Shanni, ciągle zauroczona. Zamek wydawał się żywcem przeniesiony z gotyckiej powieści. Wznosił się na skałach na urwisku nad brzegiem morza, za nim wzrok przyciągały góry spowite fioletową mgiełką. Wzniesiony z białego kamienia, czarował licznymi wieżyczkami i murami obronnymi. Na wietrze powiewały flagi. Lada chwila zobaczą rycerzy szykujących się do obrony.

Ktoś otworzył jej drzwi.

- Gdzieś ty była, do diabła? - zapytał Pierce, a Shanni podskoczyła nerwowo.

- Nie... Nie rób tego.

- Czego?

- Przeraziłeś mnie.

- A ty mnie. Obawiałem się, że mieliście wypadek.

- Tylko dlatego, że z dzieckiem w samochodzie jadę powoli? - Wróciła wzrokiem do zamku. - Widziałeś go już?

- Pomagałem przy remoncie. Wspaniały, prawda?

- Jest... niewiarygodny. Ale co właściwie robi zamek w Nowej Południowej Walii?

- Prawdziwy zamek Loganaich stał w Szkocji, ale podczas drugiej wojny światowej został zbombardowany. Ostatni właściciel miał dość mgieł i deszczy, więc odbudował zamek tutaj. Fantastyczny, co?

- Fantastyczny - zgodziła się ostrożnie. - Ale ty jako architekt.

- Och, jestem przeciw - zapewnił z szerokim uśmiechem. - Pasuje do tutejszego krajobrazu jak pięść do nosa. Ale skoro już stoi, jestem pod takim samym wrażeniem jak każdy, a praca przy remoncie była wspaniała. Chcecie spać w wieży?

- zwrócił się do Donalda. - Tam są pokoje dziecinne.

- Z... - Donald głośno przełknął ślinę. - Z Wendy i wszystkimi?

- Tak.

Donald niepewnie zerknął na Shanni.

- I z Shanni też?

- Też - zapewniła, zanim Pierce zdążył cokolwiek powiedzieć. - Donald miał świetny pomysł. Będę spała z dziećmi. Dzięki za zaproszenie.

- Nadal się boisz? - zażartował Pierce i uśmiechnął się, a ona wiedziała, że nie ma na myśli duchów.

- Wczoraj to nie byłam ja - poinformowała go z całą godnością, na jaką mogła się zdobyć. - To wszystko przez te tabletki!

- Mówiłaś mi to już pięć razy. To co, jedziemy do zamku?

Kiwnęła głową bez słowa. Niech on przestanie się uśmiechać, myślała nerwowo. Traciła grunt pod nogami, a nad jej głową wznosiło się średniowieczne zamczysko i zdawało się mówić, że teraz ma zapomnieć o rzeczywistości i znaleźć się w świecie fantazji.

Akurat. Bajki czy nie, ona będzie twardo stąpała po ziemi.

Właściciele i personel zamku Loganaich byli równie zadziwiający jak sama budowla. Shanni spodziewała się czegoś bardziej tradycyjnego, tymczasem tutaj panował chaos. Dawało się to dostrzec zaraz po przekroczeniu bramy wjazdowej.

Na stopniach zamku siedziały trzy dziewczynki, sześćioletnie bliźniaczki i dwulatka. Wszystkie trzy koncentrowały się głównie na wielkich różowych lodach.

U ich stóp siedział pies. Dziwny pies: biało-brązowy, kudłaty, o długich zwisających uszach, był wielkości cocker spaniela, miał półmetrowy ogon i króciutkie łapki. Wpatrywał się w dziewczynki wzrokiem, w którym uwielbienie mieszało się z nadzieją, że lada chwila jedna z nich upuści rożek z lodami.

Pierce się zatrzymał, a Shanni stanęła za nim. Wysiedli, a wtedy dziewczynki pomachały rączkami.

- Cześć! - zawołała jedna z bliźniaczek. - Pan MacLachlan?

- Tak.

- Susie mówiła, że będzie tata, ale bez mamy - odezwała się druga bliźniaczka

i wbiła w Shanni oskarżycielski wzrok.

- Mówiła, że mamusia umarła.

- Jestem... gosposią - wytłumaczyła Shanni.

- Witajcie! - Jak na zawołanie w drzwiach stanęła kobieta w brudnych ogrodniczkach, z wypiekami na twarzy. Zbiegła ze schodów z promiennym uśmiechem i wyciągnęła ręce w powitalnym geście. - Jestem Susan, pani na Loganaich. Niezły tytuł, co? Wydaje mi się, że powinnam snuć się po korytarzach, jęczeć i pobrzękiwać łańcuchami. Hamish pojechał do miasta po zakupy, więc ja jestem komitetem powitalnym, ale mam pełne ręce roboty z dyniami. Jodie ścieli łóżka, a Kirsty pomaga. Nie powinna, ale chciała. Kto ma ospę?

- Bessy - odparł Pierce oszołomiony i wskazał samochód, w którym Bessy siedziała w dziecięcym foteliku i ciekawie wyglądała przez okno. - Zostały jej tylko trzy krostki, więc humor też jej się poprawił.

- Wszyscy przeszliście ospę? - upewniła się, kiedy dzieciaki wyskakiwały z samochodu. - Powinniście dostać medal. Bardzo swędziało?

- Okropnie. Pierce mówił, że go swędziało, gdy tylko na nas patrzył - odparła Wendy.

- No to trafiliście we właściwe miejsce na terapię poospową - oznajmiła Susie. - To najlepsze miejsce na świecie, żeby się pozbyć resztek choroby. Będziecie się pluskać w morzu i opalać. Byliście już na plaży?

- Nie - wyjąkała Wendy i złapała Abby za rękę.

Od strony bocznej furty szedł właśnie młody mężczyzna w kombinezonie roboczym. Susie pomachała mu radośnie.

- Nick! Przyjechali ospowicze i jeszcze nigdy nie byli na plaży. Pokażemy im?

- Zerknęła na bliźniaczki i malucha. - Oczywiście najpierw damy im lody.

- Super. - Nick odłożył widły. - Ej, Jodie! - zawołał w górę, patrząc na wieżyczkę. - Kirsty! Przyjechali ospowicze. Idziemy na plażę.

- Poczekajcie na nas - zawołała kobieta z góry.

- Nudziarze, którzy chcą iść do łazienki albo się rozpakować, dojdą z Jodie i

Kirsty - zdecydowała Susie. - Kirsty jest w ciąży i chodzi powoli jak żółw. A reszta... idę po lody i lecimy na plażę.

Kiedy Shanni i Pierce zostali sami, przez chwilę milczeli i wpatrywali się w siebie oszołomieni. Dzieciaki, Susie, Nick, Jodie, suczka Taffy i Kirsty w zaawansowanej ciąży pomaszerowali na plażę.

- O co tu chodzi? - spytała Shanni zdumiona, choć nie wydawało się, aby Pierce rozumiał dużo więcej.

- To miejsce powstało z myślą o wakacjach dla dzieci - wyjaśnił. Stali na opustoszałym dziedzińcu.

- Ale jak to? Kim jest Susan? Czy ona naprawdę jest... damą?

- Nowy hrabia Loganaich - Hamish - był finansistą w Nowym Jorku, póki nie odziedziczył tytułu. Susan to jego żona, jest Amerykanką. Jodie to była sekretarka, jej mąż Nick to psycholog, pracownik socjalny. Ściągnęli ich tutaj ze Stanów, żeby pomogli wszystko urządzić. Kirsty, siostra bliźniaczka Susie, jest lekarzem, podobnie jak jej mąż. Mieszkają i pracują tutaj. Bliźniaczki są ich, czyli to siostrzenice Susie, a Rose - ta malutka - to jej córka. - Uśmiechnął się. - Nie miej takiej miny. Z czasem wszystko ci się poukłada. Byłem tu, kiedy nadzorowałem remont i potem na otwarciu, a i tak ciągle się myślę. To chaos, ale cudowny.

- Wygląda to wspaniale - przyznała. - I nigdy nie pomyślałeś, żeby przywieźć tu dzieci?

- Szczerze mówiąc, od przyjazdu Maureen nie miałem czasu myśleć o niczym - mruknął. - Dopiero kiedy zaproponowałaś, żebyśmy wybrali się na plażę, wpadłem na ten pomysł. Pomyślałem, że nie znajdę lepszego miejsca dla dzieci.

- Ach tak. - Przełknęła ślinę. Bardziej niż kiedykolwiek czuła się niepotrzebna. Chciała spędzić trochę czasu na plaży, ale to... robi się niebezpieczne. Pod jakim pozorem miałyby zostać?

- Powinnam już jechać.

- Dlaczego? - zdziwił się.

- Nie jestem wam tu potrzebna. - Dzieciaki doszły już na plażę. Ich radosne

okrzyki docierały aż tutaj. - Nawet ty nie będziesz tu potrzebny, a co dopiero ja.

Dzieci nawet się za nami nie obejrzały.

- Będę tu pracował. Zgodnie z tym, co sugerowałaś.

- I pewnie ci się uda. Więc mogę... jechać.

Ale krzyki z plaży kusily. Shanni miała ochotę podejść do urwiska i zerknąć w dół, na morze.

- Dokąd? - zapytał Pierce.

- Znajdę coś. Mam przecież przyjaciół.

- Oczywiście. - Zawahał się i podążył wzrokiem w stronę plaży, skąd docierały do nich rozbawione głosy dzieci. - Ale dopiero co obiecałaś, że będziesz spała w dziecięcym skrzydle, i nie sądzę, żebyś chciała złamać słowo. - Złapał ją za rękę i unieruchomił. - Shanni, to był twój pomysł, zresztą świetny. Zatrudniłem cię, żebyś się opiekowała dziećmi, i to robisz. Miałaś w Londynie ciężkie chwile, to widać gołym okiem. A grypa dała ci się we znaki o wiele bardziej niż dzieciakom ospa.

- Skąd wiesz?

- Jesteś blada i zmarnowana.

- Nieprawda!

- Masz cienie pod oczami. Zarezerwowałem pokoje dla dwójki dorosłych i piątki dzieci. Chcę trochę pracować, a trochę bawić się z maluchami. Ty przez najbliższe dwa tygodnie powinnaś leżeć plackiem na plaży.

- Nie jestem wyblakła ani zmarnowana.

- Czyli zazwyczaj wyglądasz jak pani na zamku według Susie: blada, jęcząca?

- Nie... chyba nie. Uśmiechnął się.

- Też tak sądzę. Dwa tygodnie na plaży, przywyknij do tej myśli. A teraz... Nie pamiętasz, do której torby włożyliśmy kostiumy kąpielowe?

- Do czerwonej.

- O proszę. Już się przydałaś. Chodźmy do nich. Aha, Shanni, jeszcze jedno...

- Tak?

Położył jej palec na ustach. Było to tak nieoczekiwane, że cofnęła się o krok.

- Wczorajszy pocałunek - rzekł z uśmiechem. - Nie traktowałem go poważnie i tobie radzę zrobić to samo.

Nie powinna tu zostawać.

Shanni leżała w pięknej sypialni, wpatrzona w pasma księżycowego światła na suficie, i zastanawiała się, co u licha robi w zamku dla dzieci z rozbitych rodzin.

W ciągu ostatnich kilku tygodni wszystko toczyło się bardzo szybko i czuła się... oszołomiona. Jednego dnia prowadziła w Londynie modną galerię, by niemal następnego dochodzić do siebie po grypie w zamku na wybrzeżu Nowej Południowej Walii.

Właściwie mogłaby wyjechać i zatrzymać się u Ruby. Albo przenocować u Jules na podłodze. Ale jak długo? Przytłaczało ją to wszystko. Zaczęło się od Mike'a i jego kochanki, a potem było tylko gorzej.

Ma dwadzieścia osiem lat, właśnie straciła galerię i mieszkanie. Nie ma pieniędzy ani pracy.

- I nikt mnie już nie zatrudni - szepnęła do siebie żałośnie. - Umiem tylko prowadzić galerię sztuki, ale jedyna, którą kierowałam, splajtowała. Niezłe referencje. Już nigdy nie dostanę pracy w zawodzie.

Pociągnęła nosem.

- Shanni? - To był przestraszony dziecinny głosik.

Pozbawiona szansy na samotny szloch, zadowolona się pociągnięciem nosem i usiadła, a potem zapaliła lampę przy łóżku.

- Shanni, śpisz? - spytała Wendy drżącym głosem.

- Nie. - Jeszcze raz pociągnęła nosem i starała się nadać głosowi radońsze brzmienie. - Siedzę w królewskim łóżu i czekam, aż służba spełni moje zachcianki. A teraz chciałabym z kimś porozmawiać.

Wendy nieśmiało weszła do pokoju.

- Wskakuj, w łóżku jest cieplej.

Nie musiała tego powtarzać. Dziewczynka podbiegła i nakryła się kołdrą pod

szyję.

- No nie. - Shanni się zdziwiła. - Chyba się nie boisz duchów?

- Nie... Nie.

- Więc o co chodzi?

- Coś mi się śniło. Myślałam, że to się dzieje naprawdę. - Drżała na całym ciele i Shanni natychmiast zapomniała o swoich problemach.

Powinna była spać z dziewczynkami, ale Abby i Wendy wybrały sobie pokój z dwoma łózkami, a chłopcy zajęli podobny, po drugiej stronie korytarza, Pierce i Bessy spali piętro niżej, więc Shanni miała sypialnię dla siebie. I to był błąd, myślała, przytulając dziewczynkę.

- Jakiś problem?

Podniosła wzrok. Pierce stał w progu. Ciągle miał na sobie dzinsy i sweter. Co on wyprawia? O tej porze włóczy się po zamku w ubraniu? Czyżby jeszcze pracował?

- Wendy tu jest - odparła.

- Wendy?

Dziewczynka przywierała do Shanni całym ciałem i dygotała ze strachu.

- Zły sen - wyjaśniła Shanni i Pierce się skrzywił.

- Znowu. - Kiedy zrobił parę kroków w ich stronę, Wendy zeszywniała.

- Nie...

- Wendy, to tylko Pierce - uspokajała ją Shanni.

Mała drżała tak bardzo, że Shanni zaniepokoiła się na poważnie.

- Odejdź - szepnęła. - Może się uspokoi.

- Miewała już takie koszmary. - Pierce stał w progu. - Nie pozwala mi wtedy się do siebie zbliżyć. Byłem z nią u psychologa, ale nic na ten temat nie powiedziała.

- Koszmary senne bywają okropne - stwierdziła Shanni.

- Wiem. - Pierce wydawał się zagubiony. I nagle zrozumiała. On wie. Ma własne koszmary.

- Co ci się śni? - zapytała dziewczynkę.

W odpowiedzi Wendy energicznie pokręciła głową.

- Ja... Chciałabym...

- Tak?

- Żeby Pierce wyszedł - wyszeptała.

Były to tak szokujące słowa, że Shanni znieruchomiała. Spojrzała na Pierce'a i zobaczyła w jego twarzy coś, co zszokowało ją jeszcze bardziej. Ból. Czysty, intensywny ból. Nie wiedziała, o co tu chodzi, ale z całą pewnością to nie Pierce'a Wendy się boi.

- Pierce to nasz przyjaciel - szepnęła. - Kocha was - tłumaczyła łagodnie. - Co ci się śni?

- Ciemność - szepnęła Wendy.

Tego było już za wiele. Pierce szedł stronę drzwi. Był głęboko poruszony.

- Zostawiam was - powiedział sztywno. - Będę na murach, tak daleko, że niczego nie usłyszę.

Shanni najchętniej zatrzymałaby go, ale wiedziała, że to niemożliwe. Wendy przywierała do niej całym ciałem. Otrząsnęła się już z koszmaru czy nadal nim tkwi?

- Pierce już wyszedł - powiedziała cicho. - Teraz możesz mi już powiedzieć, co ci się śni.

- Ja... nie.

- Wendy, uratowałam już Donalda - stwierdziła Shanni. Uznała, że odrobina władczego tonu nie zaszkodzi. - Uratuję także ciebie, ale muszę wiedzieć, co ci grozi.

Cisza. A potem rozpaczliwe:

- Ciemność.

- Ciemność?

- Tak.

- Macie w pokoju nocną lampkę. Czy to za mało?

- Nie. Kiedy zasypiam... Szafa...

Shanni wstrzymała oddech.

- Co za szafa?

- Wsadza mnie do niej. Nienawidzi mnie, bo mówię mamie, jak bije maluchy.

Mama leży w łóżku i jest ciągle chora. I zawsze, kiedy...

- Pierce? - przerwała jej zszokowana. Mała najwyraźniej płacze przeszłość i teraźniejszość.

- Nie - odparła ledwo słyszalnie. - To inny...

- Inny mężczyzna?

- Bardzo długo z nim mieszkaliśmy. Mama mówiła, że nie mamy wyboru, bo nie ma nikogo innego. Więc jej nie mówiłam o szafie. Mówiłam, kiedy bił maluchy, ale denerwowała się wszystkim. Powiedziałam maluchom, że szafa to nic takiego, że to... taka zabawa. Ale to była nieprawda, okropnie się bałam. A kiedyś uderzył Donalda, tak silnie, że podbił mu oko. Kopnęłam go z całej siły. Wtedy zamknął nas oboje, Donalda i mnie. Donald płakał tak głośno, że Abby powiedziała mamie. Mama wstała i strasznie krzyczała, a wtedy Donald powiedział, że on mnie często zamyka w szafie, chociaż prosiłam, żeby tego nie mówił. Potem mama płakała przez całą noc, a rano zapakowała nas do samochodu i zawiozła do Pierce'a.

O Boże!

Nie wiem, co robić, myślała Shanni rozpaczliwie. Nie wiem, jak się zachować. Ale oprócz niej Wendy nie ma nikogo. No i oczywiście Pierce'a, jednak w oparach snu myli go z okrutnym partnerem matki.

- Wendy, to okropne. Jak on śmiał! Powinni go aresztować. - Była zła i uznała, że nic się nie stanie, jeśli da temu Wyraz. - Jak to znosiłaś? I na dodatek opiekowałaś się maluchami!

- Było... ciemno.

- Mama nic nie wiedziała?

- Kiedyś chciałam jej powiedzieć, ale tak się zdenerwowała, że wstała z łóżka i przewróciła się. Powiedział jej, że byłam niegrzeczna i zamknął mnie tylko na

chwilę, ale to nieprawda. Ciągłe to robił. Czasami dzień po dniu.

- Och, Wendy... Ale wiesz, że Pierce nie jest taki.

- Wiem.

- Więc dlaczego się go boisz?

Wstrzymała oddech, ledwie padło to pytanie. Z Pierce'em na pewno jest wszystko w porządku, ale dziewczynka zaufała właśnie jej i nagle dotarło do niej, jak cennym darem została obdarzona.

- Nie boję się - odparła Wendy.

- Ale nie chciałaś, żeby wszedł.

- Nie, ja... To przez te sny - tłumaczyła Wendy z rozpaczą w głosie. - Mama mówiła, że Pierce to przyjaciel, że możemy mu zaufać, zaopiekuje się nami. I tak jest, jest cudowny i czasami nawet obejmuję go jak maluchy, chociaż on chyba rzeczywiście nie umie się przytulać, ale w nocy znowu mi się śni to wszystko i wtedy myślę go z... tamtym.

- Więc poza koszmarami nie masz powodów, żeby się go obawiać? - spytała ostrożnie.

- Nie. Ale ciągle mi się śnią. Staram się jak mogę, ale ciemność...

- Och, skarbie. - Shanni miała łzy w oczach. - Teraz nic ci już nie grozi. Jesteś bezpieczna. Ochronię cię, Pierce także. A jutro idziemy się wykapać jeszcze przed śniadaniem i postaramy się, abyś wkrótce o wszystkim zapomniała. Kto ci obciął włosy? - zapytała nagle.

Fryzura małej wyglądała jak po spotkaniu z piłą mechaniczną - nierówno obcięte kosmyki różniły się długością, sięgały od kołnierzyka piżamy po króciutki język.

- Ja. - Wendy na chwilę zapomniała o koszmarze. - Kiedy mieliśmy ospę, Abby wylała napój i wycierałam podłogę, a wtedy Donald przewrócił butelkę z klejem. Chciałam to zmyć, ale się nie dało, więc wycięłam.

- A co Pierce na to?

- Dzwonił do fryzjerki, ale nie mogła przyjść, z powodu ospy. - Potargala

dłonią zwichrzone loki. - Nie szkodzi.

- O nie! - mruknęła Shanni. Oto coś, co może zrobić. - Jutro pojedziemy do fryzjera. I na zakupy. Nosisz te same ciuchy co Abby.

- Mama mówiła, że tak jest łatwiej.

- Owszem, ale wasza mama była chora, a ja lubię wyzwania. - Uśmiechnęła się. - Nie ma to jak terapia zakupowa, żeby rozpedzić ciemność. Jeszcze nieraz się o tym przekonasz.

- Terapia zakupowa?

- Ciuchy - wyjaśniła. - Ciuchy, buty, fryzjer. Przyjemności. Wendy, masz już jedenaście lat. Jesteś dzieckiem i baw się, ile chcesz, ale czas, żebyś zrozumiała, co to znaczy być damą.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Pierce stał nad brzegiem i wpatrywał się w oświetlone księżycem fale. Był w jednym z najcudowniejszych miejsc na ziemi i powinien zanurzyć się w spokój nocy. Zamiast tego miał przed oczami tylko twarze dzieci i cienie przeszłości, które ich prześladowały. Jak ma sobie z nimi poradzić, jeśli nie radzi sobie ze swoimi?

- Już zasnęła.

Drgnął gwałtownie na dźwięk głosu. Obok stała Shanni, miała na sobie tylko koc narzucony na pizamę.

- Chciałam z nią spać, ale wołała wrócić do Abby - ciągnęła. - Posiedziałam z nią trochę. - Milczała przez chwilę.

- Piękny widok.

- Tak.

- Wspaniałe z niej dziecko. Wiedziałaś, że... była molestowana?

Świat zamarł.

- Nie w sensie seksualnym - dodała szybko. - Ale ostatni z partnerów Maureen chyba ją bił. I zamykał w szafie.

- Domyślałem się tego - powiedział po chwili zmaltretowanym głosem. - Po śmierci Maureen zabrałem ich wszystkich do psychologa. Reszcie trochę to pomogło, ale stan Wendy był najgorszy. Nie chciała jednak nic mówić, a nie mogłem przecież jej zmusić. - Wsadził ręce do kieszeni i westchnął. - Nie masz nawet pojęcia, ile bym dał, żeby nie mieć z tym wszystkim nic wspólnego.

- To czemu się na to zdecydowałaś?

- Nie miałem wyjścia, mówiłem ci. Poza tym myślałem, że będzie trochę łatwiej. Dzieciaki były takie samodzielne. Do śmierci matki radziły sobie praktycznie same i niemal nie wchodziły mi w drogę. Były tak spokojne, że czasem wydawało się to podejrzane. Dopiero potem zrozumiałem, w co się wpakowałem.

- To znaczy?

- Miałem tylko wynająć gosposię, wyjechać do miasta, wpadać do nich na weekendy i po dwóch dniach wracać do swojego beztroskiego życia. Nie chciałem się do nich przywiązywać.

- Jesteś ich przybranym ojcem - tłumaczyła. - Jediną osobą, jaką mają. Nie możesz się do nich nie przywiązać.

- Ale problem w tym, że ja nie wierzę w trwałe związki - wyjaśnił ponuro. - To zawsze źle się kończy.

- To nie moja sprawa - zaczęła ostrożnie. - Ale Ruby wspomniała kiedyś, że byłeś u niej cztery razy. Dlaczego aż tyle? I gdzie się podziewałeś, jak znikasz od Ruby?

- Byłem wtedy z matką - przyznał niechętnie. - Zabierała mnie, jak tylko zaczynała jakiś nowy związek. Bawiła się wtedy w szczęśliwą rodzinę, mówiła do mnie „synku” i nawet próbowała robić kanapki do szkoły. Ale kiedy jej związek się kończył, znów lądowałem w rodzinie zastępczej.

- I dopiero u Ruby poczułeś się bezpiecznie... Rany, psychiatra mógłby zbić na tobie fortunę! Chociaż... bawiłam się już w terapię z Wendy, mogę więc spróbować i z tobą - zaproponowała żartobliwie. - To pewnie dlatego nigdy nie chciałeś mieć żony, dzieci i rodziny. Może nawet z tego właśnie powodu wzięłeś dzieci Maureen.

Pewnie gdzieś podświadomie uważałeś, że to cię ochroni przed własnym związkiem. Zbladł i patrzył na nią w milczeniu.

- Idę spać - oznajmił w końcu.

- Ale przynajmniej nikt nie zamykał cię w szafie - dodała, a widząc jego wzrok, zrozumiała, że posunęła się za daleko.

- Musisz pomóc Wendy - zakończyła miękko.

- To szaleństwo. Nie poradzę sobie.

- Dlaczego? - zdziwiła się. - Jesteś dojrzałym mężczyzną, masz swoją pracę, świat leży u twoich stóp, nie mów, że to dla ciebie niemożliwe. Wendy nie poradzi sobie z tym sama.

- Wiem - przyznał z bólem. - Jutro porozmawiam z Nickiem. Zdaje się, że pracował już z dziećmi po przejściach.

- Rzeczywiście, pomyśleli o wszystkim - przyznała z podziwem. - Ale pozwól, że wypróbuję też moją terapię. Chcę zabrać jutro Wendy na zakupy. Co ty na to?

Wzruszył ramionami.

- Jedźcie. I tak zamierzałem jutro popracować.

- Myślałam, że właśnie siedzisz nad projektami.

- Bo tak było, ale usłyszałem Wendy. A potem przyszedłem tu, żeby pomyśleć.

- A ja ci w tym przeszkadzam?

- Trochę.

- Nie za grzeczna odpowiedź - zaśmiała się. - Gdybym była nadwrażliwa, mogłoby mnie to dotknąć.

- Widocznie nie jesteś. Ale na pewno powinnaś być już w łóżku. Wczoraj niewiele spałaś.

- Nie szkodzi. Wypędzanie starych demonów jest najważniejsze. - Zamyśliła się i popatrzyła na fale. - To niesamowite, jak bardzo wy wszyscy potrzebujecie pomocy - odezwała się cicho.

- Mogłabyś już przestać o tym mówić?

- Nie. Za to właśnie mi płacisz - przypomniała mu. - Mam dbać o dzieci, zapomniałeś?

- Więc lepiej idź i sprawdź, czy śpią, a mnie zostaw w spokoju.

- To nie takie proste. Teraz ty i one stanowicie jedną rodzinę. I musisz zrobić wszystko, żeby funkcjonowała jak najlepiej - rozpędzała się.

- Nie jesteśmy rodziną! - Krzyknął tak głośno, że aż drgnęła i odsunęła się o krok.

Pierce zacisnął powieki, odczekał chwilę, a potem, nieco spokojniejszy ciągnął:

- Dzieci trochę tu odpoczną, a ja podgonię pracę. Potem wrócimy do domu i rozejrzemy się za jakąś gospożą. Nie potrzebujemy zbiorowej psychoanalizy.

- To nie zadziała, wiesz? Nie chcesz się do tego przyznać, ale już się zaangażowałeś. I nie poradzisz sobie z nimi, dopóki nie uporasz się z sobą samym.

- Nieprawda!

Umilkła. Nagle dostrzegła, że pod powłoką silnego faceta nadal jest tym samym wylęknionym chłopakiem, którego spotkała kiedyś na weselu.

- Słuchaj, ludzie nie są tacy straszni - powiedziała ciepło i w nagłym impulsive chwyciła go za rękę. Koc zsunął się z jej ramion, ale nie zważała na to. Chciała wlać w niego trochę spokoju i nadziei. - Nie ma nic złego w tym, że je pokochałeś - wyszeptała. - Miłość nie jest niczym przerażającym.

- I to mówi kobieta, która wylała wiadro wody na swojego faceta - prychnął.

- Ale gdyby mi się wcześniej nie wydawało, że jestem zakochana, nie wiedziałabym, jakie to uczucie: oblać wodą podłego zdrajcę i jego flandrę! - Podniosła koc i okryła się starannie. - Chociaż czasami dużo za to płacę, to nie boję się iść do przodu!

- W miłości?

- W życiu!

- Uważasz więc, że boję się życia?

Wpatrywała się w niego długo. Wciąż był poważny. Księżyc oświetlał jego

ostre rysy, a ona pomyślała, że chciałaby zobaczyć jego uśmiech.

- Jedź ze mną i Wendy na zakupy - zaproponowała nagle. - Zobacysz, będzie miło.

- Reszta dzieci będzie zazdrosna... - wykręcał się nieporadnie.

- Chyba sam nie wierzysz w to, co mówisz. Na pewno się zgodzą. A tobie to dobrze zrobi. Obejrzyś kilka sukienek i przestaniesz być taki ponury.

- Nie jestem ponury!

- Oczywiście, że jesteś. Zrozum, ja też jestem załamana. Nie wskoczę bez namysłu w kolejny związek, nie musisz się więc obawiać. Ale nie zamierzam przez to trzymać wszystkich na dystans. Ty też nie powinieneś tego robić. A teraz zamknij na chwilę oczy.

I zanim zdążył cokolwiek zrobić, ujęła jego twarz i pocałowała. To miał być lekki pocałunek, całkiem różny od tego wczorajszego. Ale kiedy już zaczęła...

Koc znowu się z niej zsunął, a razem z nim rozwiały się gdzieś jej rozwaga, skromność i wszystkie powzięte postanowienia.

To szalone. I trochę śmieszne. Pomyśleć, że zaczęła to, bo chciała udowodnić, że tym razem będzie w stanie kontrolować sytuację. Ale to nie zadziałało.

Jeszcze nigdy pocałunek nie wyzwolił w niej takich odczuć. Stopniowo ogarniały całe ciało, docierały do każdej, najmniejszej nawet komórki. Wyglądało na to, że oboje stracili nad sobą kontrolę. Nie miała pojęcia, jak długo to trwało. Stała boso na kamieniach, ale nie czuła chłodu. Dotyk jego ust rozgrzewał ją po czubki stóp.

Nagle gdzieś za nimi otworzyły się drzwi i ktoś zapalił światło. Odskoczyli od siebie jak para spłoszonych nastolatków. Shanni naciągnęła koc i cofnęła się o krok.

- Czy to ty, Pierce? - usłyszeli Susan.

- Tak. - Jego głos drżał, ale usiłował go uspokoić. - Obudziłem cię?

- Nie spałam. Sprzątałam kuchnię, a potem miałam nagłą ochotę na pikle.

- Jesteś w ciąży? - spytała Shanni, ostrożnie wylaniając się z mroku.

- O, jest tu Shanni! - zawołała Susie wesoło. - Chyba tak.

W progu kuchni pojawił się Hamish i Susan objęła go naturalnym gestem. Shanni aż zadrżała. Było w nich tyle ciepła, serdeczności i miłości...

- Chyba powinniśmy iść do łóżek - zawołał Hamish. - Wszystko w porządku z wami?

- Tak, wszystko dobrze - potwierdzili.

- A dzieci?

- Śpią. A my właśnie o nich rozmawiamy.

- Tak to właśnie wyglądało - zaśmiała się Susan.

- A ty co tu właściwie robisz? - zapytał jej mąż.

- Musiałam zejść, bo poczułam nagłą ochotę na pikle.

- Czuję, że to będzie dla mnie długa ciąża - westchnął Hamish. - Dlaczego nie masz zachcianek na przykład na sardynki? Są wszędzie, a pikle trudno znaleźć, zwłaszcza w nocy.

- Jutro wybieramy się w Wendy na zakupy - powiedziała Shanni. - Poszukamy ich dla ciebie.

- Dzięki. Dzisiaj muszę poradzić sobie inaczej. O, chyba powinna być gdzieś jeszcze puszka *anchovies* - przypomniała sobie. - To musi wystarczyć. Dobranoc. - Pomachała im i odciągnęła męża od drzwi.

Znowu zostali sami. Pierce był blady, a Shanni cofnęła się o kilka kroków.

- Może rzeczywiście pojedę z wami na te zakupy... Powinienem być z nią jak najczęściej.

- Ale po co, skoro nie zamierzasz się angażować? - spytała podstępnie. - Skoro zamierzasz wynająć opiekunkę i odwiedzać ich tylko w weekendy...

- Według mnie to dobry pomysł - bronił się. - Mówiłem ci, że nie umiem wchodzić w żadne bliższe związki. I przepraszam, że cię całowałem.

- To był bardzo miły pocałunek - oświadczyła. - Ale to ja zaczęłam. Chciałbyś to powtórzyć?

- Lepiej nie - odparł ponuro.

Powinna się odwrócić i odejść, ale nie była w stanie wykonać żadnego ruchu.

- Naprawdę nigdy nie zamierzałeś się ożenić? Mieć własnych dzieci? - Nie miała pojęcia, co ją napadło. Jest chyba szalona, że zadaje mu takie pytania, ale nasuwały się one nieodparcie. - Czy ty w ogóle masz kogoś bliższego poza Ruby? Kochasz ją? - spytała otwarcie.

- Wszystko jej zawdzięczam - odparł.

- Ale mimo wszystko nie powiedziałaś jej o ślubie i dzieciach.

- Nie, bo od razu chciałyby się zaangażować.

- Gdybyś jeszcze umiał chronić siebie tak doskonale, jak chronisz innych - prychnęła. - Czy ty naprawdę nic nie rozumiesz? Ruby żyje dla innych, bez tego wiednie i czuje się niepotrzebna. Straciła męża kilka lat po ślubie i bardzo to przeżyła. Ale zamiast zamknąć się w sobie, stworzyła dom dla was. Jak myślisz, czy poradziłyby sobie z tym wszystkim, gdyby bała się otworzyć? Czy sądzisz, że ona też chroniła przed wami swoje uczucia, żeby nikt jej nie zranił?

- Doskonale o tym wiem!

- To dlaczego nie chcesz zrobić tego samego? Chcesz chronić swoje emocje, zatrudnić opiekunkę i widywać dzieci tylko w weekendy!

- Do diabła, Shanni! Nie poradzę sobie z nimi!

- Sam nie wiesz, czego chcesz! - zawołała zirytowana. - Najpierw kupiłeś wielką farmę, żeby Ruby mogła na niej ratować dzieci. A potem, razem z braćmi, odstawiłeś ją na przymusową emeryturę.

- Nie mogłem przecież zatrudnić jej do opieki nad piątką...

- Wnuków - podpowiedziała mu. - Ona traktowałaby je jak wnuki, a im jest to potrzebne. I nikt nie mówi o zatrudnieniu Ruby. Ona po prostu okazałaby im serce! A może przy okazji ty też nauczyłybyś się, jak to robić!

Zacisnął powieki i długo nie odpowiadał.

- Słuchaj, mam dość tej rozmowy. Nie umiem okazywać uczuć, ale mam nadzieję, że mimo wszystko potrafię wychować te dzieci całkiem dobrze. I nie zmienię zdania co do Ruby. Lepiej, żeby pozostała od tego z daleka. A teraz idź już do łóżka, jeśli nie chcesz, żebym cię całował.

- A jeśli zostanę, to mnie pocałujesz? - Zabrzmiało to niemal błagalnie i sama się zirytowała.

- Muszę popracować - odparł, ignorując jej pytanie. Po czym dodał nagle: - Naprawdę chcesz zostać tu z nami do końca?

- Tak, tu jest wspaniale. Dlaczego pytasz?

- Bo jeśli jednak wolałabyś jechać do Ruby, to jakoś to załatwimy...

- Zostanę tutaj - zdecydowała.

U Ruby ciągle by się zastanawiała, co robią dzieci. I Pierce. Nieźle, pomyślała kpiąco, jeszcze kilka dni temu rozpaczała tylko po stracie finansowej i niewiernym kochanku, a dziś przejmuje się piątką opuszczonych dzieci i zagubionym emocjonalnie facetem.

- Mogę pożyczyć ci pieniądze - zaproponował.

- Nie rozumiem. Sugerujesz, że powinnam stąd wyjechać?

- Nie - mruknął, nie patrząc na nią. - Nie chciałbym tylko, żebyś źle zrozumiała moje intencje.

- Jestem już duża - zapewniła go rozzłoszczona. - Jeśli myślisz, że ten pocałunek był taki wyjątkowy i wiąże z nim jakieś nadzieje... - Był wyjątkowy i oboje o tym wiedzieli, ale za nic nie przyznaliby się do tego. - To tylko jeden pocałunek - zakończyła swobodnie.

- To prawda. Tylko jeden pocałunek.

- Hm, właściwie dwa - przypomniała sobie. - Ale co to za różnica? Jedna jaskółka wiosny nie czyni. Ani nawet dwie...

- A co mają do tego jaskółki? - zdziwił się.

- Nic, ale jakoś pasowało. Idę do łóżka. - Nie poruszył się. - Dobranoc. - Patrzyła na niego wyczekująco, ale nawet nie drgnął. - Dobranoc - powtórzyła. Odwróciła się na pięcie i wróciła do swojego pokoju.

Jedna jaskółka wiosny nie czyni. Podobnie jak jeden pocałunek. Ani nawet dwa. Ale przecież nie musiał jej całować. Czy fakt, że jednak to zrobił, może coś oznaczać? Taką miała nadzieję, bo czy jej się to podoba, czy nie, zakochała się w

tym facecie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Długo trwało, zanim Pierce dotarł wreszcie do zacisza swojej sypialni. Od dawna przywykł do krótkiego snu, praktycznie od przybycia Maureen. Nauczył się zasypiać natychmiast i wykorzystywać każdą wolną chwilę. A teraz się nie kładł. Wyszedł na balkon i stał bez ruchu, patrząc na fale rozbijające się o brzeg.

Shanni poruszyła w nim jakieś dziwne struny i obudziła najgłębiej skrywane nadzieje. Szczęśliwe rodziny...

Pewnie gdzieś istnieją, niestety on nie miał szczęścia osobiście się o tym przekonać. Całe jego dzieciństwo to niezliczone próby stworzenia szczęśliwej rodziny. Jego matka uwielbiała się w to bawić i za każdym razem, kiedy pojawiał się na horyzoncie kolejny kandydat, zmuszała syna do udziału w takiej farsie. Po kilku miesiącach cały układ rozpadał się jak domek z kart, a wtedy już go nie potrzebowała. Wówczas lądował u kolejnej rodziny zastępczej, aż do momentu, kiedy matka znowu miała ochotę na zabawę w szczęśliwą rodzinę. W końcu za którymś razem trafił do Ruby i to trochę uspokoiło jego rozchwiane życie.

Trudno, nic na to nie poradzi, ale po prostu nie wierzył w szczęśliwe rodziny i cały ten słodki świątek z uśmiechniętą mamą, ojcem, dziećmi i psem, rodem z reklam telewizyjnych.

Ale teraz wszystko się zmieniło. Nagle ma pięcioro dzieci i Shanni, która może nie umie narysować krowiej nogi, ale za to sprawiła, że dzieci zaczęły się uśmiechać.

Zadrzał na wspomnienie Shanni, jej uśmiechu i ciepłego spojrzenia zielonych oczu. Zacisnął ręce na barierce i odetchnął. Nie powinien pozwalać sobie na takie wizje. Co z tego, że go pocałowała? Pewnie traktowała go jako ucieczkę od wspomnień o Mike'u. A dlaczego on ją pocałował? Dobre pytanie.

Przez głowę przelatywały mu wspomnienia dzisiejszego dnia. Zauważył, że

Wendy wyraźnie do niej lgnie. To bolało. Starał się robić wszystko najlepiej jak mógł, a tu nagle zjawiała się Shanni z całą tą swoją otwartością, ciepłem i serdecznością i dzieci natychmiast straciły dla niej głowę. Musi się trzymać, inaczej skończy tak samo. Do tego jeszcze ten pocałunek... Nie trzeba było. Czuł, że ta pieszczota zmieniła coś w nim samym. Na chwilę pozwolił sobie na utratę kontroli. A na to pozwalać sobie nie powinien.

Mrzonki o szczęśliwych rodzinach musi zostawić dla innych. On poznał życie i nie ma złudzeń. Wziął wprawdzie na siebie opiekę nad dziećmi Maureen, ale to już dość. Niepotrzebne mu są żadne dalsze zobowiązania. Na samą myśl o tym skręcało go ze strachu. Zdążył już pokochać te dzieci i to przerażało go jeszcze bardziej.

Pragnął Shanni tak mocno, że czuł niemal fizyczny ból. Musi jednak zwalczyć to pragnienie. Nie ufał temu uczuciu. Podobnie jak nie ufał sobie na tyle, by uwierzyć, że jeden pocałunek może zatrzeć ponad trzydzieści lat doświadczeń. Poza tym... może źle ocenił jej zaangażowanie? Może po prostu, jak dwadzieścia lat temu, współczuje mu? Do licha, dość tej litości!

Przez głowę przelatywały mu dziesiątki myśli, a w sercu kłębiły się najróżniejsze uczucia. Nie chciał krzywdzić nikogo - ani dzieci, ani Shanni. Dlatego wiedział, że dalsze zaangażowanie byłoby okrucieństwem. A ona była taka już jako dziesięcioletnia dziewczynka - chciała ciepła i bliskości. Pragnęła dawać i brać coraz więcej, podczas gdy on nie mógł jej dać tego, czego potrzebowała. Nie umie dawać miłości.

Zmarzył, wszedł więc do pokoju. Na szczęście Bessy śpi. Tak, musi zrobić wszystko, by trzymać się na dystans. Bliskość Shanni niesie zbyt wielkie ryzyko. Zresztą, to już niedługo. Sama mówiła, że chce się zająć swoimi sprawami. Spojrzał na zegarek. Trzecia w nocy, a to oznacza, że w Londynie jest szósta wieczorem. Blake na pewno siedzi jeszcze w pracy.

Odebrał po pierwszym dzwonku.

- Co tam, braciszku? - spytał serdecznie. Niełatwe wspólne dzieciństwo sprawiło, że wspierali się na każde zawołanie.

- Jak tam twoja menażeria?

Blake jako jedyny wiedział o dzieciach. Pierce potrzebował jego pomocy przy adopcji i choć Blake był zszokowany tą decyzją, to załatwił wszystko błyskawicznie i poparł pomysł, aby nie mówić o niczym Ruby.

- Wszystko w porządku, dzięki. Jesteśmy właśnie na zamku Loganaich.

W słuchawce na moment zapadła cisza.

- Ale w ten sposób Ruby dowie się o wszystkim.

- Nie dowie się - uspokoił go. - Personel jest tu bardzo dyskretny, obiecali dotrzymać tajemnicy.

- To dobrze, bo mimo twoich kłopotów nie wolno ci wciągnąć w to Ruby.

- Nie zamierzam!

Blake usłyszał zdecydowanie w jego głosie i powiedział szybko:

- Przepraszam. Wiem, że byś tego nie zrobił. A teraz powiedz, czemu zawdzięczam twój telefon?

- Chciałem cię spytać o sprawę Shanni. Wysłałem ci dokumenty i chciałbym się dowiedzieć, jak wyglądają jej szanse.

- To aż tak pilne? - zdziwił się Blake.

- Raczej tak. Jest spłukana, a ja nie chcę jej stąd odsyłać, zanim nie odzyska pieniędzy.

Znowu zapadła cisza.

- Hm, myślałem, że potrzebujesz jej do dzieci?

- Już nie. Tutejszy personel jest wystarczająco fachowy, a nie chcę, żeby przywiązywała się do dzieci.

- Dlaczego?

- Bo... Do diabła, Blake! - zirytował się Pierce.

- Mam zgadywać? - zachichotał starszy brat. - Jest ładna?

- Nie! - zaprotestował, ale potem przez głowę przeleciały mu różne wspomnienia i dodał: - Troszkę.

- A może nawet śliczna?

- A co to ma do rzeczy?

- Nic, tak tylko sobie myślę... A więc ona jest teraz z wami, ty chcesz się jej pozbyć, ale nie chcesz, żeby wyjeżdżała bez pieniędzy?

- Właśnie. Pracujesz nad tym?

- Oczywiście. Ale na razie jeszcze za wcześnie, aby cokolwiek stwierdzić - powiedział Blake leniwie. - Musisz się z nią pomęczyć jeszcze kilka dni.

- Może obietnica, że odzyskamy pieniądze, wystarczy, żeby wyjechała - zastanawiał się głośno Pierce.

- Bardzo ci zależy, żeby się od niej uwolnić - mruknął Blake na drugim końcu linii. I nagle zawołał tonem odkrywcy: - Zakochałeś się w niej! Pierce, zakochałeś się w kuzynce Ruby!

- Po prostu nie mogę znieść, że wtyka nos w nie swoje sprawy! - bronił się.

- Aha, czyli wkroczyła na święty teren twojej niezależności. A przynajmniej tego, co z niej zostało.

- To też - przyznał. - Blake, nie draż. Po prostu chcę, żeby wyjechała. Potrzebuję prostej kobiety w średnim wieku, która zajmie się dziećmi. A Shanni zdobędzie ich serca, a potem wyjedzie z jakimś nowym facetem.

- Taka z niej flirciara? - zdziwił się Blake.

- Daj spokój, jest załamana, bo jej życie się zawaliło. Przyjechała na farmę, nie znając sytuacji. A teraz nagle są z Wendy najlepszymi koleżankami i chodzą razem na zakupy. Jest po prostu nieodpowiedzialna i chcę, żeby zniknęła stąd jak najszybciej!

- W porządku, nie unosź się. Zobaczę, co da się zrobić. A tymczasem trzymaj się, braciszku. Coś mi się zdaje, że wkroczyłeś na grząski grunt. Cześć, muszę wracać do pracy.

Problem z kominkami jest właśnie taki, że mają kominy. A problem z pokojami na wieży zamkowej jest taki, że mają wspólne kominy. Które doskonale przenoszą głos.

Jest po prostu nieodpowiedzialna i chcę, żeby zniknęła stąd jak najszybciej!

Te słowa uderzyły ją w samo serce. Nieodpowiedzialna... Wcale nie jestem taka, wściekała się, leżąc w ciemnościach. Posprzątałam ci dom, wyczyściłam lodówkę, nakarmiłam dzieci i uratowałam Donalda. Czy to jest brak odpowiedzialności? On skłamał, mówiąc, że ma tylko jedno dziecko, ale to ja jestem nieodpowiedzialna?!

Gniew nieco złagodził ból, ale i tak ledwie się powstrzymała, by nie wtargnąć do jego sypialni i go nie walnąć. To dopiero byłoby nieodpowiedzialne!

Nie chciała zostać tu dłużej. Najpierw ją całował, a potem mówi komuś, że wtrąca się w jego życie! Dobrze. Pójdzie sobie więc. Odłoży na bok dumę i zadzwoni do rodziców z prośbą o pożyczkę. Te kilka dni, aż przyślą pieniądze, przeczeka jakoś u Jules.

Jęknęła z niesmakiem. Ma prawie trzydzieści lat, a musi koczować u przyjaciółki i prosić rodziców o pieniądze. Fatalnie się to wszystko ułożyło.

Gniew opadł i ogarnęło ją zniechęcenie. Może rzeczywiście jest nieodpowiedzialna? Pierce tak właśnie o niej myślał. A ona była na tyle głupia, żeby się w nim zakochać.

Nie można zakochać się w trzy dni, powtarzała sobie. Ale w takim razie skąd to dziwne uczucie w żołądku za każdym razem, gdy go widzi? Skąd ta tęsknota, kiedy odchodził, pragnienie, by go dotknąć, przytulić, całować? Miała ochotę płakać, ale nie chciała, żeby Pierce to usłyszał. Cichutko pociągnęła nosem. Nawet jeśli zakochała się w człowieku, który ma o niej takie zdanie, to niech przynajmniej zachowa resztki dumy.

Odejdzie stąd. Jeszcze tylko pójdzie z Wendy na zakupy i zaraz potem odejdzie.

Wytarła nos, przymknęła oczy i starała się zasnąć. Przez kominek słyszała, jak Pierce usypia Bessy.

- Ciiicho - mruczał do niej. - Nie jest tak źle, nie płacz już. Masz dwie wspaniałe siostry i dwóch świetnych braci. No i mnie. Jesteśmy twoją rodziną, nie płacz.

Chciała krzyknąć, że jest jeszcze ona, ale siłą się powstrzymała. Widocznie Pierce nie chciał, żeby stała się dla nich kimś ważnym.

Ale przecież ją całował. No, tak naprawdę to ona całowała jego. Ale jej nie odepchnął. Więc też uległ temu nieodpowiedzialnemu zauroczeniu. Jęknęła żałośnie i schowała głowę pod poduszkę.

- Shanni... Wszystko w porządku? - usłyszała zaniepokojony głos Pierce'a.

- Może... Nie wiem. Spałam - odparła wymijająco.

- Teraz brzmisz całkiem rześko - mruknął podejrzliwie.

- No to przysypiałam.

- Głos dobrze się niesie przez te kominki...

- Pewnie tak, skoro usłyszałeś mój jęk.

- Shanni... - Zamilkł na chwilę, a potem spytał ostrożnie: - Słyszałaś moją rozmowę?

- Idę spać - oświadczyła, nie podejmując rozmowy.

- Ale...

- Dobranoc!

- Shanni...

- Śpię.

Przycisnęła obie poduszki do twarzy i próbowała uspokoić rozdygotane serce. Śpi. Dobrze sobie.

Co takiego mówił przez telefon? Nie bardzo pamiętał. Ciekawe, co usłyszała. Twierdziła, że spała, ale nie bardzo jej wierzył.

- Da da da - gaworzyła rozbudzona Bessy.

- Jestem Pierce - powiedział wyraźnie, patrząc na nią. - Pierce.

- Są tu tacy, co próbują spać!

- Da da - powtórzyła Bessy.

- Dobrze, Bessy, przewiniemy cię i damy Shanni pospać. Może jak wezmę cię do swojego łóżka, przejdzie ci ochota na pogawędki i szybciej zaśniesz.

- Pediatrzy zalecają spanie z dzieckiem? - dopytywała się Shanni złośliwie.

- Jak taki z ciebie ekspert, to sama ją uśpij!

- To twoja córka - przypomniała mu. - A ja nie jestem żadnym ekspertem.

Jestem samodzielną niezależną kobietą. I wyjeżdżam stąd zaraz po tym, jak wrócimy z Wendy z zakupów. Nawet śladu po mnie nie zostanie. Nie będziesz więc musiał więcej się martwić, czy mnie pocałować. Nieodpowiedzialna! Też coś!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Nie mamy ścisłego rozkładu zajęć - mówiła Susan, gdy następnego ranka siedzieli wokół ogromnego kuchennego stołu. Hrabia robił grzanki dla wszystkich, a wokół kręciła się Taffy. - Wiemy, że każde dziecko ma inne potrzeby - ciągnęła Susan - i staramy się je zaspokoić. Podobnie zresztą jak ich opiekunowie. - Popatrzyła uważnie na Pierce'a i Shanni.

- A wy wyglądacie, jakbyście potrzebowali snu.

- Potrzebujemy! - oznajmili jednogłośnie. Susan się uśmiechnęła i spytała dzieci:

- Co chcecie robić?

- Ja chcę iść na plażę! - zawołała Abby.

- I pójdziesz, zaraz po śniadaniu.

- Hurrra!

- Shanni i ja miałyśmy iść na zakupy - niemal szeptem powiedziała Wendy.

Shanni spojrzała na nią i pomyślała, że to dziecko już dawno przestało wierzyć w obietnice. Zerknęła na Pierce'a i zrozumiała, że myśli tak samo. Nie patrz na niego, skarciła się. Co cię obchodzi, co on czuje?

- Zgadza się - potwierdziła. - Wybieramy się na zakupy. Ktoś jeszcze ma ochotę iść z nami?

- Ja mam pieniądze - przypomniał Pierce, a wtedy niemal się udławiła.

Nie chciała być zależna od jego pieniędzy. Nigdy! Na szczęście Susan ją wybawiła.

- Zakupy to przyjemność dla kobiet, tylko byś przeszkadzał. Shanni, w każdym sklepie w okolicy mamy otwarte konto. Kupuj na nas, a potem Pierce ureguluje rachunki.

- Zgoda. - Kiwnął głową. - Wydadaj ile trzeba, żeby uszczęśliwić moją córkę. Na to stwierdzenie wszyscy drgnęli zaskoczeni. Najbardziej Wendy.

- Córkę... - powtórzyła niepewnie.

- Mówię o tobie. - Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po włosach. - Ty i Shanni idziecie na babskie zakupy, a reszta na plażę.

- Hurrraa! - wrzasnęli tym razem chłopcy. Abby nagle skrzywiła się z zazdrości.

- Ja też jestem dziewczynką - przypomniała.

- Oczywiście - potwierdził Pierce. - Moją drugą córką. Wybieraj więc, czy wolisz iść do fryzjera i sklepów z ciuchami, czy na plażę.

- A Taffy pójdzie na plażę?

- Jasne - odpowiedziała Susan. - Zobaczysz, jak świetnie pływa.

- W takim razie ja też idę na plażę! - zawołała mała uszczęśliwiona.

- A zatem wszystko ustalone. Wszyscy, oprócz Wendy i Shanni, idą na plażę.

Ale najpierw Pierce podwiezie was do miasta.

- Mogę jechać sama - zaprotestowała Shanni.

- Jeśli twój samochód to zielona toyota, to nie bardzo. Zostawiłaś resztki jedzenia w środku i uchylone okno. Mewy z całego wybrzeża urządziły sobie w nim ucztę. Kazałam to już posprzątać, ale tymczasem musisz jechać z Pierce'em.

- A nie możemy iść pieszo?

- Wtedy nie zdążycie nawet na kolację.

- Podwiozę was - stwierdził ponuro Pierce.

Susan popatrzyła na nich przez dłuższą chwilę, a potem uśmiechnęła się szeroko.

- Myślałam, że jesteście przyjaciółmi.

- Skąd, to mój pracodawca - wyjaśniła Shanni.

- A ja sądziłam... - zaczęła Susie wylewnie, ale po chwili umilkła. - Zresztą to nie moja sprawa, ja tu tylko gotuję. W każdym razie niech Pierce zawiezie was i wraca szybko, żeby zdążyć na plażę. I przy okazji kupi pikle.

Jechali do miasta w milczeniu.

- Jesteś pewien, że chcesz, żebyśmy poszły na zakupy? - spytała, gdy dojechali do niewielkiego centrum. - Może sam chciałbyś to zrobić?

Jakby w odpowiedzi na jej słowa Wendy mocno chwyciła ją za rękę. Shanni wiedziała, że ten gest zabolął Pierce'a. I nie dziwiła mu się. Tyle w końcu dla nich zrobił. A ona zjawiła się nagle i w kilka dni zdobyła ich serca.

- To zabawa dla dziewczyn, Susan tak mówiła - wyszeptała jeszcze Wendy.

- Ale za jego pieniądze - odpowiedziała Shanni. - Jeśli chce, może mógłby popatrzeć?

Uścisk drobnej rączki tylko się wzmocił.

- Idźcie same - odezwał się Pierce. - Ja pojedę po te pikle. Spotkamy się tutaj za trzy godziny.

- To cześć! - Nie potrafiła zdobyć się na nic więcej. Miała wrażenie, że nie jest w stanie powiedzieć do niego nawet jednego zdania, pod którym nie kryłoby się wewnętrzne napięcie.

- Cześć - powtórzyła za nią Wendy i pociągnęła ją prosto do fryzjera.

Miały bardzo udany poranek. Najpierw fryzjer, od którego Wendy wyszła doskonale ostrzyżona. Przed wyjściem Wendy długo wpatrywała się w lustro.

- Jestem ładna - powiedziała do siebie, a fryzjer uśmiechnął się wzruszony.

- Musiałem przesunąć dwóch klientów - szepnął do Shanni - ale nie mogłem wam odmówić. Zrobiłbym wszystko dla tych dzieciaków.

Ta sama sytuacja powtórzyła się w kolejnych sklepach. Wendy, jako dziecko z zamku, wszędzie była traktowana jak księżniczka. Ekspedientki biegały wokół niej i przynosiły kolejne ciuchy, a dodatki dostawała gratis. Tylko w sklepie obuwniczym sprzedawca przez chwilę ich nie zauważył, a wtedy stary rybak wskazał jej krzesło i powiedział:

- Siadaj, młoda damo. Wy, dzieciaki, macie w tym mieście pierwszeństwo.

Gdy wreszcie razem z Wendy - nową Wendy, w powiewnej sukience, pastelowym sweterku, nowych sandałkach i z błyszczącymi włosami - obładowane torbami czekały na Pierce'a, Shanni miała wrażenie, że wszyscy się im przyglądają.

Była z siebie dumna. Miło było patrzeć na tę przemianę brzydkiego kaczątka w łabędzia. Tym bardziej że Pierce na ich widok wyraźnie zaniemówił. Wendy też zamarła, a Shanni domyśliła się, z jakim napięciem czeka na jego werdykt.

Pierce podszedł do nich na jakieś dziesięć metrów, przystanął, przysłonił oczy rękoma i rozglądał się, jakby niepewny, co widzi.

- Widzę Shanni - mówił. - Ale... czy to Wendy?

- Tak! - odrzekła, śmiejąc się nieco nerwowo.

- Jesteś piękna - powiedział. I było to czyste stwierdzenie faktu, a wtedy Wendy uśmiechnęła się naprawdę. - Jestem z ciebie dumny.

Szybko przeszedł ostatnie kilka kroków, uniósł Wendy i obrócił się z nią wokół tak szybko, że aż zapiszczała. Shanni starała się na to nie patrzeć. Nie potrzebowała kolejnych wzruszeń i rozkosznych wizji z tym facetem w roli głównej. Jak mantrę powtarzała sobie, że to wszystko nie jej sprawa i zaraz stąd wyjedzie.

- A teraz lunch - zdecydował Pierce, stawiając wreszcie Wendy na chodniku, ale wciąż ją przytulając. - Powinniśmy uczcić ten dzień. Obok latarni morskiej jest wspaniała restauracja. Byliśmy tam z Ruby w dniu otwarcia zamku. Mają tam nawet szampana.

- Szampan?! - Wendy szeroko otworzyła oczy. Pomaszerowali ścieżką wzdłuż wybrzeża, z dumną Wendy w środku, trzymającą ich oboje za rękę.

Pierce musiał wcześniej zarezerwować miejsca, bo mimo wielu turystów dostali doskonały stolik, z pięknym widokiem, który zdawał się sięgać aż na drugi kontynent.

Wendy z trudem powstrzymywała emocje, gdy kelner nalewał szampana do smukłych kieliszków.

- Wiem, że jest trochę za młoda na szampana i pewnie i tak nie będzie jej

smakował - zauważył Pierce - ale to wyjątkowy napój na wyjątkowe toasty. - Wstał, uniósł kieliszek i odchrząknął. - Wendy, chcę wypić twoje zdrowie. Byłaś niezwykle dzielna. Wykonałaś wspaniałą robotę, dbałaś o bezpieczeństwo rodzeństwa i opiekowałaś się mamą. Ogłaszam, że teraz znowu możesz być dzieckiem, ja się wami zaopiekuję. I nie zawiodę was, obiecuję!

- Za to ja też się napiję. - Shanni również wstała. - Za dzielną niezwykłą Wendy.

- Za naszą piękną Wendy - dodał Pierce i wypił szampana, z uśmiechem obserwując, jak Wendy marszczy nos po pierwszym łyku. - I za Shanni - dodał. - Za jej walkę z bykiem i za to, że stawiała czoło kobietom z miasteczka. Dobra robota, Shanni.

To brzmiało jak podsumowanie, mogłaby więc teraz ukłonić się i wyjść. Nie chciała jednak robić tego Wendy, która właśnie z ulgą przyjęła kieliszek lemoniady przyniesiony przez kelnera.

- Naprawdę wolicie szampana od tego? - spytała z takim niedowierzaniem, że oboje się roześmiali.

Choć menu pełne było wyrafinowanych dań, oni wybrali rybę z frytkami. Tyle że w bardzo wykwintnej wersji. Do tego zamówili mnóstwo owoców morza, krewetki, kalmary, ostrygi otwierane na ich oczach...

Zjedli dużo, a potem siedzieli, patrząc na zatokę i gawędząc. Tak musi wyglądać raj, pomyślała Shanni.

- Chyba powinniśmy już wracać - odezwał się Pierce po jakimś czasie. - Dołączymy do tej ekipy na plaży, tylko proszę, żeby nikt nie pływał. Po takim lunchu pójdziemy na dno jak worek kamieni.

Teraz. Musi to zrobić teraz, bo potem będzie jeszcze trudniej.

- Wyjeżdżam po południu.

Zapadła cisza, którą przerwała w końcu Wendy.

- Nie możesz wyjechać! Dokąd pójdziesz?

- Odwiedzę moją przyjaciółkę w Sydney.

- Ale przecież nie masz pieniędzy... - przypomniał Pierce, jakby to miało coś zmienić.

- Wystarczy mi. Choć byłoby oczywiście miło, gdybyś zapłacił mi za te kilka dni.

- Nie możesz odjechać. - Wendy była przerażona. - Chcemy, żebyś została!

- Wiem - odparła Shanni smutno.

Wiedziała, że dzieciom wyda się to okrutne. I za nic nie chciała zranić Wendy, która patrzyła na nią z takim zaufaniem. Ale nie może przecież zostać tutaj i pozwolić, by zżyli się jeszcze bardziej. To byłoby samolubne.

A do tego jeszcze Pierce, w którym jest coraz bardziej rozpaczliwie zakochana. Desperacko i beznadziejnie. Bez szans na szczęśliwe zakończenie.

- Słyszałaś moją rozmowę w nocy - odezwał się, patrząc na nią. - Żle mnie zrozumiałaś.

- Ale to prawda. Jestem tu zbyt uczynna, ja też to widzę, dlatego chcę odejść. - Wzięła głęboki oddech i dodała: - I zamierzam powiedzieć Ruby o dzieciach.

- Nie możesz!

- Mogę. - Wiedziała, że stoi na niepewnym gruncie, ale nie miała wyjścia. - Chyba o tym nie pomyślałaś, ale im dłużej będziesz to przed nią ukrywał, tym bardziej ją zranisz. A jest jej już wystarczająco przykro, że nie wiedziała o twoim ślubie i śmierci żony. - Z trudem wzięła kolejny oddech i zwróciła się do Wendy: - Kochanie, wiem, że ci smutno, ale wy potrzebujecie prawdziwej gospodyni. Ja nie wiem za dużo o dzieciach ani o prowadzeniu domu. A Pierce ma wspaniałą przybraną mamę, która powinna was poznać. Sama nie da już rady zaopiekować się wami, ale na pewno znajdzie kogoś odpowiedniego.

- Shanni, nie możesz tego zrobić! - Głos Pierce'a brzmiał przerażeniem.

- Powiem jej. Powiedz swoim braciom, że ja wygadałam. Przykro mi, Pierce, ale pewnych sekretów nie da się utrzymać. To właśnie jeden z nich.

- Nie masz prawa!

- Może i nie mam, ale i tak to zrobię. - Wstała roztrzęsiona. To jest i tak

wystarczająco trudne. Nie powinna tego przeciągać. - Wendy, jestem twoją przyjaciółką - powiedziała serdecznie, choć serce jej się krajało, gdy patrzyła na spiętą twarzyczkę.

- Jak wrócić do domu, chętnie was odwiedzę, będę spotykała się z wami tak często, jak to możliwe. I będę pisać.

- To nie to samo - wyszeptała Wendy.

- Nie, ale byłam tylko tymczasową gospodynią i moje zadanie właśnie dobiegło końca.

Droga powrotna upłynęła w całkowitym milczeniu. Shanni posadziła Wendy z przodu, obok Pierce'a, a sama usiadła z tyłu. Tu jest jej miejsce.

Wiedziała, że zraniła Wendy. Ale cóż innego mogła zrobić? Musi odejść. Gdyby była rozsądna, powinna wręcz uciekać. Biegiem.

Zajechali przed zamek i przez kilka chwil siedzieli w samochodzie, jakby każde z nich chciało jeszcze trochę pobyć razem.

- Chyba czekają na was na plaży - odezwała się w końcu Shanni. - Prawda, Pierce?

- Gdy wyjeżdżałem, szykowali się do pikniku. Wzięli zapas napojów, który starczyłby na miesiąc, i parawany.

- Powinniście chyba do nich dołączyć.

- Chcę, żebyś ty też przyszła na piknik - wyszeptała Wendy cichutko.

- Nie mogę - odparła ze ściśniętym sercem.

- Powiedz raczej, że nie chcesz - wtrącił Pierce.

- Wiesz, dlaczego to robię! - zdenerwowała się. - Nie utrudniaj mi chociaż! Zacisnął ręce na kierownicy.

- Dobrze - odezwał się w końcu. - Chodź, Wendy, idziemy po kostiumy.

Musimy się nauczyć radzić sobie bez Shanni. Ona nie jest częścią naszej rodziny.

To było okrutne. Poczula się, jakby wbił jej nóż w samo serce. Ale tak wygląda prawda.

- Wendy, bardzo cię kocham - zapewniła dziewczynkę drżącym głosem. -

Przyjdę na plażę się pożegnać.

Wysiadła z samochodu i zanim zdążyli cokolwiek powiedzieć, pobiegła do swojego pokoju.

Na filmach pakowanie trwa szybko. Parę ubrań bezładnie wrzuconych do niedomkniętej walizki i liścik: „Po resztę wrócę później”.

Ona chyba nie umiałaby odegrać tej roli. Stała w pokoju i zastanawiała się, jakim cudem w tak krótkim czasie zdołała zrobić tu taki bałagan. Postawiła otwartą walizkę na łóżku, rozglądała się bezradnie i nie wiedziała, od czego zacząć. Żałośnie pociągnęła nosem. Do licha, płacze! Niemożliwe, ona przecież nigdy nie płakała. Poszła do łazienki po chusteczki.

- Pięknie - powiedziała, patrząc w lustro na swój zaczerwieniony nos. - Serce mi pęka z powodu faceta, który mnie nie chce, i pięciorga dzieci, które znam od kilku dni. Idiotyczne! Zupełnie idiotyczne!

Narobiła bałaganu w swoim życiu i wkrótce już nie będzie miała dokąd uciec. Dzięki Mike'owi nie ma pracy ani pieniędzy, a teraz dzięki Pierce'owi ma złamane serce.

- Shanni... - usłyszała głos Pierce'a.

Drgnęła zaskoczona. W zamkniętej łazience była bezpieczna. Nie wejdzie tu przecież.

- Jesteś tam? Wychodź!

- Dlaczego nie jesteś na plaży?

- Zaprowadziłem Wendy i wróciłem.

- Jak się spodobała jej nowa fryzura? - spytała całkiem bez sensu, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

- Bardzo. Teraz robią zamek z piasku, wykorzystując wielki brzuch Kirsty jako okopy. Wychodź!

- Nie chcę!

- Zachowujesz się bardziej dziecinnie niż Abby.

- Nic dziwnego, przecież jestem nieodpowiedzialna! - powtórzyła z

satysfakcją.

- Shanni, przykro mi, że słyszałaś tamtą rozmowę.

- Mnie też jest przykro. - W końcu jednak otworzyła drzwi. To był błąd.

Myślała, że gniew pomoże jej jakoś to przetrwać, ale opuścił ją, gdy tylko spojrzała na Pierce'a.

- Płakałaś? - spytał zdziwiony, kładąc jej ręce na ramionach.

- To katar sienny - mruknęła, nie patrząc na niego.

- Nie chcę, żebyś wyjeżdżała.

Nie chciała już wypominać mu, że w nocy mówił co innego. Tu przecież nie chodzi tylko o niego. Jeśli ma resztki rozsądku, powinna wyjechać przede wszystkim dla własnego dobra.

- Muszę - powiedziała smutno. - Pokochałam te dzieciaki.

- Wendy ma złamane serce...

- Znałyśmy się tylko kilka dni. Przejdzie mi... To znaczy, przejdzie jej - dodała.

- Więc ty też nie chcesz się rozstawać?

- Trudno mi zostawić te dzieci - przyznała. - Prawdziwy szczęściarz z ciebie, że je masz. Ale nie dostrzegasz tego, bo ciągle jesteś zajęty wspomnianiem swojej niezależności.

- Wiem, że dzieci cię uwielbiają, ale nie chodzi tylko o nie. - Zawahał się i wstrzymała oddech. - Wiesz, Shanni...

- Tak?

- No, nie wiem... - Wsadził ręce do kieszeni i nie patrząc na nią mruknął: - Robisz cudowne ciasteczka czekoladowe.

To beznadziejne. Jest chyba zupełną idiotką, że wciąż tu stoi i z nadzieją wyczekuje na jego kolejne słowo. Każda minuta spędzona przy nim pogłębia tylko jej rozpacz i lepiej, aby wreszcie uwierzyła, że on nie ma zamiaru odwzajemnić jej uczuć.

- Pierce - odezwała się po chwili. - Jestem artystką, prowadzę galerię, nigdy

nie byłam prawdziwą gospodynią - tłumaczyła. - Miałam tylko załatać dziurę w trudnym dla was okresie, a teraz wracam.

- Ale nadal nie chcę, żebyś wtajemniczyła Ruby we wszystko.

- Nie możesz mnie powstrzymać. - Pokręciła głową. - Nie chcę dokładać ręki do czegoś, co na pewno ją zrani.

- To nie spotykaj się z nią. - Miał taką minę, jakby wydawało mu się, że oto właśnie wymyślił genialne w swej prostocie wyjście.

- Jak to sobie wyobrażasz? - Spojrzała na niego lekko rozbawiona. - Myślisz, że ktokolwiek zdoła ukryć się przed ciocią Ruby? Wie przecież, że byłam u ciebie, i odnajdzie mnie choćby pod ziemią. A gdy zapyta o twoje życie, nie będę umiała skłamać.

- A potem da mi popalić - westchnął tak żałośnie, że niemal zrobiło jej się go żal.

- Stara, dobra Ruby... - uśmiechnęła się. - Ale zawsze możesz liczyć na jej miłosierdzie. Kara powinna odpowiadać uczynkowi, to przecież jej słowa.

- Tak, zawsze to powtarzała. - Na chwilę zatonął we wspomnieniach, a potem nagle spojrzał na nią dziwnym wzrokiem i powiedział cicho: - Shanni, zostań...

Zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy. Pierce - człowiek, w którym mogłaby zakochać się bezgranicznie. W którym już się zakochała.

- Nie - powiedziała.

- Dlaczego?

- Bo nic nie rozumiesz.

- Z powodu tych pocałunków?

- Jeśli chcesz, niech tak będzie - westchnęła znużona. - To przez te pocałunki.

Wpatrywał się w nią zagubiony.

- Shanni, naprawdę nic nie rozumiem...

- Ja też - odparła smutno. - Wiem tylko, że nie mam wyboru. Pójdę na plażę i pożegnam się ze wszystkimi. Potem wyjeżdżam. I proszę, Pierce, nie zatrzymuj mnie. Po prostu muszę, uwierz, że muszę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Podłoga u Jules była naprawdę twarda. Wymościli ją materacami i poduszkami, ale trudno było to nazwać luksusowym pościaniem.

- To nie potrwa długo - zapewniała przyjaciółkę. - Tylko dopóki nie skontaktuję się z rodzicami.

- Może pożyczę ci trochę pieniędzy?

- Nie, dzięki.

Pierce już oferował jej pożyczkę, ale odmówiła. Wystarczy, że hojnie jej zapłacił za te kilka dni. Jakoś sobie poradzi. Była już w agencji pracy, niestety nie posiadali żadnych ofert dla kustoszy. Zaproponowali jej za to posadę kelnerki od przyszłego tygodnia.

Tak więc leżała teraz na materacach u Jules i czekała na posadę kelnerki albo na powrót rodziców. Z całych sił starała się nie myśleć o tym, jak wspaniale bawią się dzieci i Pierce nad zatoką.

- Wyglądasz, jakbyś wpadła pod walec - zauważyła życzliwie Jules.

- Mam złamane serce - odparła z godnością.

- Daj spokój. - Przyjaciółka machnęła ręką. - Mike to gnojek. Zapomnij o nim. Nie chodziło o Mike'a, ale tego nie chciała już tłumaczyć.

Kolejnego dnia tego marazmu, właśnie gdy pogrążona w zawilej akcji telenoweli opróżniała pudełko czekoladek, zadzwonił dzwonek u drzwi. Nie miała ochoty wstawać sprzed telewizora, zwłaszcza że nie zdążyła się przebrać. Wiedziała jednak, że poprzedniego wieczoru Jules znowu pokłóciła się ze swoim chłopakiem, była więc pewna, że to pościanie z kolejnym bukietem. Przesyłanie róż to był ulubiony sposób chłopaka Jules na poprawę atmosfery.

Jęcząc, niechętnie wstała z materaca i otworzyła drzwi. W progu stał Pierce.

- Sądziłam, że to róże - odezwała się bez sensu.

Wyglądał cudownie. Sprane dzinsy podkreślały zgrabną sylwetkę, jasna koszulka odcinała się od ciemnej opalenizny, a na czoło spadały mu niesforne

kosmyki.

- Przykro mi, że nie jestem różą - powiedział z lekkim uśmiechem i objął ją spojrzeniem.

Och nie, jęknęła w duchu. To nie tak powinno wyglądać! Wiedziała, jakie robi wrażenie, bosa, w obszernej piżamie, ze śladami czekolady na ustach.

- Co porabiasz? - spytał.

- Oglądam telewizję.

- Nie zaprosisz mnie?

- To mieszkanie Jules.

- Nie nabałaganę - rzucił z ironią, spoglądając w głąb pomieszczenia na materace leżące na podłodze, stosy przywiedłych róż i papierki po czekoladkach. - Przynoszę dobre wieści. - Uśmiechnął się czarująco.

Nie powinien był tego robić. To zachwiało jej wątłą równowagę emocjonalną.

- Co u dzieci? - zapytała szybko.

- Tęsknię za tobą. - Uciekła spojrzeniem w bok, więc zmienił temat na bezpieczniejszy. - Doskonale się bawią. Bessy znikły ostatnie ślady ospy i wszyscy szaleją na plaży.

- No tak... - Przełknęła ślinę. - A ty co robisz?

- Miałem spotkanie w mieście, więc przyjechałem. Ale wieczorem muszę wracać. - Urwał nagle i zapytał: - Jesteś smutna?

- Nie - zaprzeczyła szybko.

Zapadła cisza. Zanim odważyła się powiedzieć cokolwiek, Pierce przerwał milczenie.

- Wpadłem, bo chciałem porozmawiać o twojej sytuacji finansowej. - Widząc jej zdumione spojrzenie, dodał: - Są wiadomości od Blake'a. Problem został rozwiązany.

- Rozwiązany? - powtórzyła bezwiednie.

- Nie powtarzaj po mnie jak papuga. Blake odzyskał twoje pieniądze.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Szczerze mówiąc, nie była pewna, czy dobrze

rozumie to, co słyszy. Do tego widok Pierce'a, niedbale wspartego o framugę, rozpraszał ją w najwyższym stopniu.

- Chcesz wiedzieć, jak to zrobił?

- Oczywiście. - Z trudem usiłowała oderwać wzrok od rozpiętej koszuli i skrawka opalonego torsu.

- Twoje karty kredytowe były przeznaczone do płacenia artystom, dlatego miałaś przyznane duże limity. Bank udzielił ci ich, bo twoja opinia była bez zarzutu.

- Chciała przerwać, ale nie pozwolił na to. - Blake słyszał to podobno w każdym banku, ich zdaniem byłaś godna zaufania.

- Ale głupia - mruknęła. - Upoważniłam do korzystania z nich również Mike'a.

- I o to chodzi. Blake przeszedł transakcje i odkrył, gdzie podziały się pieniądze. Gdyby Mike przepuścił je w kasynie, byłoby po sprawie, ale on kupił za nie trzy obrazy - każdy kosztował fortunę - a my je odzyskaliśmy.

- Odzyskaliśmy?

- Miałaś po mnie nie powtarzać.

- Przepraszam. - Nagle ogarnął ją niepohamowany śmiech. - Opowiedz mi wszystko po kolei.

- Z tego, co wiem, Blake skorzystał z prostego faktu, że Mike miał pozwolenie na używanie kart jako twój współnik. Ale wasze wspólne interesy skończyły się zaraz po tym, jak wylałaś na niego kubek wody. Tak więc po rozpadzie spółki Mike nie mógł ich używać. Obrazy zostały odzyskane, a kiedy je sprzedasz, odzyskasz pieniądze.

- Och, Pierce... - Teraz ona musiała oprzeć się o framugę.

- Tak, niezły jest ten Blake - mruknął z wyraźną dumą.

- To prawda - potaknęła wzruszona.

- No, to tyle chciałem ci powiedzieć. Pójdę już.

- Naprawdę nie wiem, jak ci dziękować! - Kłębiące się w niej emocje na moment wzięły górę i zanim zdążyła się zastanowić, co robi, spontanicznie go uścisnęła.

Jego zapach wdarł się głęboko w jej zmysły, ale w następnej sekundzie poczuła, jak Pierce łagodnie, ale stanowczo odsuwa ją od siebie.

- Uratowałeś Donalda, a ja ci pomogłem. Jesteśmy kwita. A te listy, które napisałaś do moich braci...

Ups! A więc dowiedział się o wszystkim. Dostała adresy mailowe od Ruby i napisała do całej szóstki. Przedstawiła się jako bratanica Ruby, opisała, co wydarzyło się ostatnio w życiu Pierce'a, i dała im do zrozumienia, że odsunięcie Ruby od ich własnych spraw to okrucieństwo. Być może chcieli ją oszczędzać, ale powinni wiedzieć, że Ruby będzie bardzo to przeżywać.

- Cóż... Przyjęli do wiadomości, ale raczej nie zrozumieli - zakończył.

- Czytałaś to? - spytała słabym głosem.

- Cała szóstka przesłała mi kopie - powiedział, ale w jego głosie nie było radości. - Akceptują mój wybór, ale go nie pochwalają.

- A ty?

- Może powoli zaczynam dostrzegać sens tego wszystkiego. Dzięki tobie.

- Ja cię niczego nie nauczyłam - zaprotestowała. - To raczej dzieci.

- Co masz na myśli?

- Naprawdę nie rozumiesz? - zdziwiła się. - Po prostu.. cóż, jak dopuścisz kogoś do siebie na odpowiednią bliskość, zawsze narazisz się na zranienie.

Patrzył na nią, ale miała wrażenie, że jej nie widzi.

- Co teraz zrobisz? - spytał wreszcie. - Straciłaś galerię, ale są przecież inne. Sprawa się wyjaśniła i twoja reputacja nie ucierpiała. Pewnie mogłabyś nawet kontynuować współpracę z tymi samymi artystami...

- No, nie wiem. Nie mam jeszcze pojęcia, co zrobię. Mam widoki na pewną posadę od poniedziałku. - Nie wspomniała, że chodzi o posadę kelnerki w dworcowej kawiarni. - Ale w każdym razie dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Zamilkł na chwilę. - Jeśli zostaniesz w Australii, mogłabyś odwiedzić czasem dzieci...

- Taki miałam zamiar.

- Naprawdę?

Czy jej się zdawało, czy w jego głosie usłyszała prawdziwą radość?

- Wiesz, że Ruby spotyka się z kandydatkami na gosposie?

- Mówiła mi. - Uśmiechnął się. - Byłem pewien, że zechce się jakoś wtrącić.

- Och, pozwól jej, wiesz, że to uwielbia. Zresztą obiecałam, że jeśli znajdzie kogoś odpowiedniego, to pojedziemy razem, żeby ci go przedstawić. Ruby jeszcze nie była na farmie, moglibyśmy coś zjeść, napalić w kominku... To będzie ładne pożegnanie. - Dostrzegła jego zdziwioną minę, więc wyjaśniła: - Nie chcę, żeby ostatnie wspomnienie o mnie, jakie będziesz miał, było takie. - Wskazała na swój strój i ciągnęła:

- Kobieta chciałaby raczej być zapamiętana w innej sytuacji niż tej, kiedy ogląda telenowelę w piżamie z prosiaczkami i ma twarz ubrudzoną czekoladą. Mam swoją dumę!

- Wyglądasz słodko! - zapewnił ją.

- Jestem dorosła, mam pracę i różne plany zawodowe - mówiła rozzłoszczona.

- Nie jestem słodka! I zwykle nie spędzam czasu tak głupio jak dzisiaj. Tak więc przyjadę, żeby zatrzeć to wrażenie!

Bawiło go jej zdenerwowanie, ale wiedział, że gdyby to okazał, sytuacja tylko by się pogorszyła.

- Shanni, chciałem...

- Ja też! - przerwała mu gwałtownie. - Nawet bardzo. Ale to się nie stanie. A teraz, jeśli pozwolisz, pożegnajmy się. Mam sporo do zrobienia.

- Ale...

- To wszystko - rzekła z takim zdecydowaniem, że sama była zaskoczona. - Jeśli nie jesteś dostawcą kwiatów, to zamykam.

I zanim zdążył odpowiedzieć, cofnęła się o krok. Spojrzała na niego z cieniem nadziei, że porwie ją w ramiona i zmysłowo pocałuje. Ale nic z tego. Wyglądał, jakby go замуrowało.

- Więc do widzenia - mruknęła i zagryzła wargi. - Zobaczymy się pewnie w

przyszłym tygodniu.

Zupełnie oszołomiony jeszcze przez chwilę stał pod drzwiami. Nie chciał odchodzić. Shanni jest taka śliczna, rozczulała go ta piżama w prosiaczki i jej determinacja, by udowodnić mu swoją niezależność. A kiedy uścisnęła go w poczuciu wdzięczności, był o krok od złamania swoich postanowień.

Nie powinien był tu przychodzić. W jej obecności rzeczy zbyt łatwo wymykają się spod kontroli.

Nawet kiedy jej nie widział, nie potrafił przestać o niej myśleć. Wyjazd do zamku to rzeczywiście był dobry pomysł. Mógł pracować, a dzieci były pod fachową opieką. Czasami robił sobie wolne przedpołudnie, szaleli wtedy na plaży, a potem nadrabiał stracone godziny nad projektami.

Jednak, co zdumiewające, praca szła mu teraz o wiele szybciej i projekt był już niemal gotowy. Ale cały czas, w każdej minucie, na plaży, podczas zabaw z dziećmi i pracy nad projektem, ciągle myślał o Shanni. A ona odeszła. Pewnie to było rozsądne z jej strony. Sam powinien był tak zrobić w pierwszej chwili, kiedy Maureen poprosiła go o pomoc.

Tylko co wtedy stałoby się z dziećmi? Zaklął pod nosem i starał się skoncentrować na prowadzeniu samochodu. Nagle zadzwonił telefon. Sięgnął po zestaw słuchawkowy i odebrał.

- Witaj, kochanie - usłyszał głos Ruby. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam? Chciałam tylko spytać o wzrost dzieci, chcę coś dla nich przygotować.

Aha! Miał wrażenie, że wpada w czarną dziurę.

- Widziałeś się z Shanni? - zapytała Ruby.

- Tak - odparł krótko.

- Pewnie powiedziałaś jej o pieniądzach? Ucieszyła się? Chce wrócić do Londynu? - Jak zwykle zasypała go pytaniami.

- Nie sędzę.

- To wspaniale! - Nawet na odległość wyczuwał satysfakcję w jej głosie.

- Ruby, nie rób tego! - ostrzegł.

- Czego, kochany? - zdziwiła się niewinnie.
- Tego, co właśnie robisz.
- Ależ ja nic nie robię - zapewniła i niemal słyszał jej chichot. - Przecież mnie znasz, nigdy się nie wtrącam. A teraz powiedz mi, ile dzieci mają wzrostu?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ranek tego dnia, kiedy musieli opuścić zamek, był co najmniej dramatyczny. Dzieci wstały o świcie i po raz ostatni poszły popływać. Potem snuły się po zamku, żegnając przyjaciół i znajomych. Czule głaskały nawet zbroje manekinów stojących w korytarzach.

Pierce spakował się, a potem zszedł do jadalni, gdzie Susan szykowała stopy naleśników. Teraz sami będą musieli nauczyć się je smażyć. Ale Shanni pewnie też robi niezłe. Dość! Nie wolno o tym myśleć.

Siedział przy stole, jadł i patrzył na swoją gromadkę. Dzieci żartowały, obficie polewały naleśniki sosami, a Taffy zebrał o resztki.

- Przechodzi na dietę, jak tylko wyjedziecie - stwierdziła groźnie Susan. - Ale dzisiaj czeka was jeszcze jedno zadanie.

- Zadanie?! - Oczy dzieciaków zabłysły. Uwielbiali zadania. Codziennie dostawali kolejne i każde było bardzo ciekawe.

- Dziś odwiedzicie delfinarium - zdradziła Susan. - Przewodnik zabierze was stąd za pół godziny. Potem macie piknik na plaży, a później, niestety, będziecie już pewnie chcieli uciekać.

Dzieci westchnęły smutno. Miał wrażenie, że najchętniej zostałyby tu na zawsze. I nie dziwił im się. Jemu też nie chciało się wracać do domu, samotności, obowiązków i wspomnień o Shanni...

Dość, przypomniał sobie. Ta droga do nikąd nie prowadzi!

- A więc delfiny, piknik, a potem do domu! - powiedział, wstając od stołu. Nic na to nie poradzi.

- Czy te balony nie opadną za szybko?

- Powinny wytrzymać. Ściskaj mocniej. - Ruby napełniała helem czerwone i złote balony, a Shanni wiązała tasiemki.

- Ile mamy parówek?

- Nie wiem, żywność organizuje matka Dwayne'a. Do niczego mnie nie dopuścili.

- Nie bardzo podoba mi się jego imię - mruknęła Ruby.

- Moi chłopcy mają lepsze imiona, nie sądzisz?

Shanni zamarła.

- Chyba nie wybierałaś ich ze względu na imiona? - spytała ostrożnie.

- Niezupełnie. Connor, Darcy i Dominic nie mieli imion, więc wybrałam je z moich ulubionych romansów.

Shanni omal się nie zakrztusiła.

- Dałaś dzieciom imiona postaci z romansów?

- A znasz lepszy sposób? - Ruby wzruszyła ramionami.

- Hm, nie - musiała przyznać.

- No widzisz, przynajmniej dobrze mi się kojarzą.

Już z daleka widzieli powiewające na bramie kolorowe balony.

- Ej, co tam się dzieje? - krzyknął Bryce.

- Powiesili baloniki! - entuzjasmowała się Abby.

- Myślicie, że ktoś się cieszy z naszego przyjazdu? - zastanowiła się głośno Wendy.

Przez całą drogę milczała, widać powrót do domu nie budził w niej przyjaznych skojarzeń.

- Może to ta nowa gospoia od Ruby? - odezwała się niepewnie.

- Zaraz się dowiemy - mruknął Pierce.

Wysiedli z samochodu i powoli i ostrożnie podeszli do drzwi. Pierce pchnął je lekko i nagle otoczył ich cały tłum ludzi. Pokój niemal eksplodował kakofonią najrozmaitszych dźwięków - trąbek, gwizdków i okrzyków.

Ktoś uniósł dzieci do góry i wyjął im bagaże z rąk. Znał niektóre twarze z miasteczka, ale nagle wszyscy się do niego uśmiechali i klepali go po plecach. W tłumie obcych ze zdumieniem dostrzegł Blake'a i Nikolaia, który miał być przecież w Meksyku. I wiele par z dziećmi, które mgliście rozpoznawał jako sąsiadów.

Zobaczył, że przez tłum przepycha się Shanni. Podeszła do Wendy, uścisnęła ją serdecznie i szepnęła coś do ucha. Nagle wszyscy się rozstąpili, bo do pokoju wszedł Dwayne z ogromnym tortem obficie oblanym czekoladą i przystrojonym truskawkami. Na środku był duży czerwony napis: „Witajcie w domu - od nas wszystkich”.

Od nich wszystkich... Wciąż nic nie rozumiał. Skąd wzięli się ci ludzie? Byli w każdym pokoju, w kuchni, korytarzu, nawet na werandzie, nie był pewien, czy ktoś nie siedział na dachu.

Dwayne przełknął i wyrzekł drżącym głosem:

- Chcielibyśmy przywitać waszą rodzinę w domu. Najwyraźniej uznał, że to wystarczy, jego matka westchnęła więc ciężko i dodała:

- I przede wszystkim przeprosić, bo traktowaliśmy was podle. I to wszyscy. Ale obiecujemy, że to się nie powtórzy. Przynieśliśmy tyle jedzenia, że trzeba było pożyczyć drugą lodówkę od Enid. Ona zresztą mówi, że możecie ją zatrzymać. W każdym razie serdecznie witamy. Aha, poznaliśmy już waszą Olgę i uważamy, że jest miła. I zawsze może liczyć na zniżki w naszym sklepie!

Głośne oklaski i okrzyki miały być pewnie poparciem dla słów matki Dwayne'a. Pierce uśmiechał się miło do wszystkich i próbował rozpoznać w tym tłumie Olgę. W końcu dostrzegł kręłą kobietę o przyjaznej twarzy i czerwonych policzkach, która uważnie potakiwała tłumaczącej coś Shanni. To pewnie Olga...

Mimo woli jego uwaga skupiła się na jej towarzysze. Wyglądała ślicznie. W zwiewnej pastelowej sukience, wypoczęta, opalona. Pewnie wróci sobie do Londynu...

Gdy podeszła do nich Ruby, cała grupka ruszyła w jego kierunku.

- Pani jest naszą nową gospośią? - spytał, z trudem otrząsając się z

poprzednich wizji.

- Jeśli pan się zgodzi. - Kiwnęła głową. - Ja bym chciała, i tak jestem bez wyjścia, bo właśnie puścili mnie z aresztu za kradzież czekolady. To były urodziny mojego dzieciaka, a mój były mąż wszystko przepił i zrobiłam taką głupotę. Ale już nigdy więcej niczego nie ukradnę, przyrzekam!

Wokół zapanowała nagle cisza, przerywana tylko głośnymi westchnieniami matki Dwayne'a.

- Wierzę, że nie ukradniesz - zapewniła Ruby. - Inaczej nie prosiłabym, żebyś opiekowała się tymi dziećmi.

- Skoro Ruby ci wierzy, sprawa jest załatwiona - dodała Shanni. - Nikt jak ona nie zna się na ludziach.

Jakby mimo woli wszyscy zwrócili teraz spojrzenia na matkę Dwayne'a.

- Cóż - westchnęła. - Masz zniżkę. Jeśli Shanni cię akceptuje, to ja też. Ale następnym razem, jak będziesz potrzebowała czekolady, najpierw przyjdź do mnie.

Wszyscy się roześmiali, a Pierce pomyślał, że nie zdążył nawet odbyć rozmowy wstępnej ze swoją nową gosposią, a wszyscy ją już zatrudnili. Z zamyślenia wyrwał go cichy głos Dwayne'a.

- Lepiej się poddaj, szkoda energii. To baby rządzą.

Pewnie miał rację. Znów spojrzał na Shanni. Uśmiechała się do niego i nie wiedział, czy tylko miał wrażenie, czy naprawdę chce mu coś przekazać tym uśmiechem?

- Pokrój tort! - zawołał ktoś z tłumu.

- I coś powiedz! - poparł go inny głos.

- Chyba w waszych snach! - mruknął z uśmiechem.

Dwayne wreszcie postawił tacę z ciastem na stole, Pierce zawołał dzieci i wszyscy razem pokroili ciasto.

Przyjęcie się zaczęło. Po kilku godzinach musiał przyznać, że nowi sąsiedzi bardzo się starali zatrzeć złe wrażenie. To był prawdziwy festyn. Zorganizowali mnóstwo jedzenia, zabawy dla dzieci i konkursy.

Dla takiego samotnika jak on to było oszałamiające. Nie przywykł do takiego zachowania. Jego dwaj bracia bawili się razem z resztą towarzystwa, choć czasami spoglądali na niego z niepokojem. Sami przeszli twardą szkołę życia i martwili się o niego.

Kiedy wreszcie, późnym wieczorem, udało mu się zagnać dzieci do łóżek i zszedł na dół, sprzątanie było już prawie skończone. Na zewnątrz stała jeszcze jakaś grupka pogrążona w żartach i rozmowie, ale w środku sprawna ekipa kilku sąsiadek, pod kierownictwem Ruby, właśnie kończyła mycie i czyszczenie.

Ruby machała zawzięcie jakąś ścierką, ale kiedy go zobaczyła, przerwała i objęła czule. Nagle uświadomił sobie, że choć jej uściski wiele dla niego znaczyły, nigdy tego nie okazał.

- Dziękuję - wymamrotał zmieszany.

- Daj spokój. - Machnęła ręką z uśmiechem. - Dzisiejsze przyjęcie to raczej zasługa Shanni, choć wszyscy pomagali. My tu skończymy sprzątanie, a ty lepiej jej poszukaj. Powiedziała, że chce porozmawiać z tym bykiem...

Wypadł z kuchni, zanim skończyła mówić. Pędem dopadł do ogrodzenia i odetchnął z ulgą. Shanni siedziała na płocie i uważnie patrzyła na byka, który wlepił w nią łagodne spojrzenie wielkich oczu.

- Shanni...

- Cześć - powiedziała, nie odwracając głowy. - Właśnie mu mówiłam, że nie gniewam się na niego. To nie była jego wina. Dwayne wszystko mi wyjaśnił. To było kilku nastolatków podpuszczonych przez rodziców. Chcieli cię wygnać z miasta.

- Na szczęście do tego nie dopuściłaś.

- Po prostu wygarnęłam im prawdę. Sam mogłeś to zrobić. Gdybyś w jakiś sposób wyciągnął do nich rękę, miałbyś przyjaciół już dawno.

- Nie mogłem...

- Czego nie mogłeś? - zirytowała się nagle. - Nie mogłeś trochę się otworzyć?

Wiem.

- Shanni... Czy ty... - zawahał się.

Spojrzała na niego.

- Czy ja co, Pierce?

Nie był w stanie wypowiedzieć ani słowa. Czuł, że zapada się w jakąś otchłań. Jego życie nie należy już do niego. Ma na karku pięcioro dzieci, nadopiekuńczą Ruby i gospodynię kryminalistkę. A Shanni ma swoje ambicje, karierę i plany na przyszłość. I niezależność.

- Czy ja co? - powtórzyła.

- Hm, czy chcesz kawy? - zadał pierwsze pytanie, które przyszło mu do głowy.

- Właśnie robią...

- Szukałeś mnie aż tutaj, żeby spytać o kawę? - powiedziała z niedowierzaniem.

- Cóż, tak. I martwiłem się, że bykowi znowu coś odbije. Nie chcę, żebyś ryzykowała. - Dostrzegł jej zdziwione spojrzenie, więc dodał: - Jesteś... dość impulsywna.

- Ale to zwykle wychodzi mi na dobre - zaśmiała się. - Wylałam kubek wody na mojego chłopaka i nadal uważam, że to był dobry pomysł. Dzięki Blake'owi udało się odzyskać pieniądze, mogę więc cieszyć się niczym niezmaconym smakiem zemsty. Przy okazji: masz wspaniałych braci. Nik zaprosił mnie na kolację.

Poczuł się, jakby ktoś go uderzył. Nik, ty draniu!

- I co zrobisz? - zapytał słabym głosem.

- Jestem zajęta - odpowiedziała z godnością. - Otwieram nową galerię, tym razem w Australii. I kupię sobie psa, dokładnie takiego jak Taffy..

- Chyba zasłużyłaś na coś lepszego niż życie z psem - mruknął.

- A co? - Wyraźnie się z nim drażniła. - Masz jakąś lepszą propozycję? -

Milczał, więc westchnęła tylko i powiedziała:

- Dobrze, czas więc na kawę.

Zeskoczyła z ogrodzenia tak niespodziewanie, że odruchowo wyciągnął rękę i ją złapał. Była teraz tuż obok. Czuł jej zapach. Pomyślał, że to cudownie czuć ją w

ramionach. A wtedy ona opuściła głowę i ich usta się spotkały. To był trzeci raz, kiedy go pocałowała.

Ale tym razem było to raczej wyzwanie niż pieszczota. Powinien jej powiedzieć, by przestała, ale nie potrafił. Nie był w stanie nawet się ruszyć. Wciąż trzymał ją na rękach, a ona go całowała.

- Tchórz - wyszeptała między pocałunkami.

Cóż mógł odpowiedzieć? Obiecał sobie, że to będzie tylko muśnięcie. Jedyne po to, by jej pokazać, że wcale się nie boi. Ale gdy już zaczął, nie potrafił przestać. Całował ją jak nikogo dotąd, jakby chciał wyrzucić z siebie całą tęsknotę i wszystkie uczucia, z których nawet nie zdawał sobie sprawy.

- Kawa! - usłyszeli nagle głośny krzyk. W mroku z trudem rozpoznali sylwetkę Dwayne'a. - Chodźcie na kawę. I Ruby pyta, czy Shanni odwiezie ją do domu, bo jak nie, to kładzie się spać.

Odskoczyli od siebie. Zauważył, że Shanni jest zmieszana, może nawet przestraszona. Delikatnie położył dłoń na jej policzku. Doskonale ją rozumiał.

- Nie martw się - powiedział cicho. - To nic nie znaczyło. Niczego od ciebie nie oczekuję.

- Takie tylko całowanie - wyszeptała.

- Oczywiście. Cóż by innego... - Starał się uspokoić oddech. - Mam swoje życie i swoje problemy.

Przestrach, który poprzednio dostrzegł w jej oczach, ustąpił miejsca pustce. I gniewowi.

- Ja też - oświadczyła chłodno. - Mówiłam ci przecież, że otwieram galerię. - Przerwała nagle i spojrzała na niego z bólem. - Pierce, to ma szansę...

- Nie - zaprzeczył. - Ja nie zawieram związków. Nigdy. Uciekaj, Shanni, uciekaj, póki jeszcze nic się nie stało.

- Kawa! - wrzeszczał Dwayne.

- Pierce... - zaczęła znowu, ale pokręcił głową, a po chwili stanął przy nich Dwayne.

- Wszyscy na was czekają - rzucił w przelocie. - Ja znoszę pudła i tace, reszta jest już sprzątnięta i wszyscy chcą się pożegnać.

- O nie! - jęknął Pierce.

- Daj spokój. To przyjaciele. I twoi bracia. Specjalnie przyjechali z zagranicy.

- Ty ich tu wezwałeś.

- Nie ja, tylko Ruby. Powiedziała im, że martwi się o ciebie. - A po chwili ciszy dodała jeszcze: - No i Nik jest taki przystojny.

- Nawet o nim nie myśl! Złamie ci serce. Choć właściwie to pewnie Mike już je złamał.

- Przez jakiś czas myślałam, że tak właśnie było - powiedziała. - Ale wtedy nie wiedziałam nic o prawdziwym uczuciu. Ani o pękniętym sercu. Dopiero prawdziwy ekspert mnie tego nauczył.

- Shanni... - westchnął ciężko.

- Skoro naprawdę nie masz mi nic więcej do powiedzenia, to lepiej już pójde - odezwała się cicho i ruszyła w stronę domu.

Długo jeszcze stał przy ogrodzeniu i patrzył za nią. Ale nie próbował jej zatrzymać. Nie może jej tego zrobić.

Wyjechała zaraz potem. Pospiesznie ulokowała Ruby w samochodzie i odjechała, nawet się nie obejrzawszy.

- Przepraszam cię - odezwała się Ruby po kilku minutach ciszy.

Wzruszyła lekko ramionami.

- To przecież nie twoja wina, że on jest zakutym i ślepym baranim łbem - wyrzuciła z pasją.

- Bardzo go kochasz? - zapytała ciotka po chwili.

- Nie wiedziałam, że można aż tak - mruknęła. - Chyba nawet bardziej niż jego dzieci.

- Och, kochanie...

- Nie martw się - uspokoiła ją. - Pokonam to. Nie mogę przecież przez resztę życia usychać z tęsknoty za głupim facetem, który mnie nie chciał. - Wrzuciła

wyższy bieg i nie odezwała się aż do Sydney.

- Pierce... - usłyszał czyjś głos.

Nadal stał przy zagrodzie dla byków. Zwierzęta poszły spać, goście odjechali i dom zatonął w ciszy.

Blake postanowił grać rolę starszego brata.

- Na werandzie jest piwo - oznajmił.

- Dzięki, nie chcę.

- A powinieneś, pewnie dobrze by ci zrobiło. Może czas, żebyś poradził się starszego brata - rzucił z lekkim uśmiechem. - Ruby twierdzi, że się zakochałeś i nie chcesz się do tego przyznać.

Aha, więc Ruby maczała w tym palce. Mógł się tego domyślić, w końcu żaden z nich nie był zbyt wylewny i nie włąził z butami do życia innych.

W milczeniu przeszli na werandę, wzięli po puszcze piwa i zapatrzili się na gwiazdy.

- Podobno zakochałeś się w Shanni - podjął Blake po chwili. Pierce mało się nie zakrztusił, więc dodał: - Ruby mówi, że jesteś cholernie uparty i źle to wszystko rozegrałeś.

- A co ona może o tym wiedzieć? - zdziwił się.

- Cóż, w końcu zna nas najlepiej. Przy okazji: Shanni twierdzi, że te ograniczenia, które narzuciliśmy Ruby w korzystaniu z apartamentu, są okrutne.

- Ma rację - przyznał.

- To niezła dziewczyna - odezwał się Blake ostrożnie. - Nik ma na nią oko. A widziałeś teraz Nika: w garniturze, czarujący, zarabia, podoba się kobietom.

- Powiedz mu, żeby zostawił ją w spokoju!

- Sam mu powiedz. A zresztą, skoro ona cię nie interesuje, to o co chodzi?

- Zasłużyła na coś lepszego. My... sam wiesz. Nie umiemy się wiązać.

- Co ty powiesz? - zaśmiał się Blake. - A ta piątka dzieciaków? Skąd się tu wzięła?

- To nie takie proste... Gdybyś znał Maureen, zrozumiałbyś. Nie miałem

wyjścia.

- Pewnie nie - zgodził się. - Ale w takim razie, czemu nie przeniosłeś się z nimi do miasta i nie wynajęłeś gosposi? Mogłeś to tak zorganizować, że prawie nie odczułbyś tego ciężaru. Wolaleś zostać tu, bo wiedziałeś, że tak będzie lepiej dla dzieci.

- To pewnie Ruby tak mówi - domyślił się.

- Ruby mówi, że kochasz Shanni, ale nie wie, dlaczego nie poprosisz jej, żeby za ciebie wyszła.

- Bo odpowiedziałyby: tak

Hm. Blake przez chwilę koncentrował się na piwie, a potem spytał:

- Myślisz więc, że ona cię kocha?

- Możliwe - przyznał Pierce. - Jest czuła i serdeczna. Ale nie wiem, czy to po prostu nie współczucie. Może nawet tak jest i sama nie zdaje sobie z tego sprawy.

- No, kiedy patrzyła na ciebie na przyjęciu, to jakoś nie widziałem współczucia, tylko czyste pożądanie. Zresztą, masz już pięcioro dzieci, jedna żona nie robi większej różnicy, a może będziecie szczęśliwi.

- Szczęśliwi? Zrozum, ona jest jak Ruby, gotowa rzucić na szalę całe życie. Wiesz przecież, że była doskonałym kustoszem, a jeśli poproszę ją o rękę i usadzę tutaj z dziećmi, to koniec jej kariery. I tak wiele jej zawdzięczam, ale nie mogę żądać czegoś takiego.

- Czyli zamierzasz chronić ją przed nią samą. - Blake zamyślił się na chwilę. - Czy przypadkiem nie to właśnie próbowaliśmy zrobić z Ruby? Może lepiej zapytaj ją o to i pozwól jej samej podjąć decyzję.

- Nie ma mowy! Jakie życie mógłbym jej zaoferować?

- No, trzeba przyznać, że dość szalone. Ale przecież zawsze ma prawo odmówić. Daj jej szansę! - Blake przeciągnął się i wstał. - Zrobiłem swoje. Próbowałem przemówić ci do rozumu. Na mój osąd to jesteś w niej zakochany i właśnie elegancko próbujesz to sknocić. Jeśli ty nie poprosisz ją o rękę, to zrobi to ktoś inny. Nawet jeśli nie Nik, to na pewno znajdzie się inny chętny. Naprawdę tego

chcesz?

- Nie - warknął przez zęby. - Ale nie mam wyboru. Zasłużyła na lepsze życie.

Wkrótce potem cały dom ogarnęła cisza. Ale na górze jeszcze nie wszyscy spali. W pokoiku na piętrze, na parapecie, siedziała Wendy i obejmując kolana, przysłuchiwała się rozmowie.

A potem wśliznęła się do łóżka i usiłowała zamknąć oczy. Przez głowę przelatywały jej fragmenty zasłyszanych zdań...

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Obudziło go poszarpywanie za ramię. Ledwo otworzył oczy, zobaczył, że wokół łóżka stoi cała delegacja. Zerknął na budzik: szósta rano.

- Co się stało? - wymruczał zaspany.

- Wendy zniknęła - oznajmił Donald, podając mu kartkę. - Jak się obudziliśmy, już jej nie było. Zostawiła tylko ten list. A do Sydney jest ponad trzysta kilometrów.

Rozbudził się w jednej chwili. Wbił wzrok w kartkę, na której Wendy napisała ledwie kilka słów: „Pojechałam do Shanni, muszę ją zapytać o coś ważnego. Znam jej adres. Jak dotrę, poproszę, żeby pozwoliła mi do was zadzwonić. Wendy”.

- Musiała ruszyć w nocy, bo jej łóżko już było zimne - dodał Bryce.

Dobry Boże! Poczul skurcz żołądka. Spojrzał na dzieci i zobaczył na ich twarzach przerażenie.

- Blake! Nik! - Wyskoczył z sypialni, ubierając się niemal w biegu. - Olga!

Jego krzyki obudziły Bessy, ale nie miał czasu się nią zająć. Zanim zbiegł ze schodów, naciągnął już na siebie spodnie i koszulę.

- Pali się? - jęknął zaspany Nik. - Bo chyba nie wzywasz do udoju. Miłość braterska ma granice.

- Wendy wybrała się sama do Sydney - tłumaczył pospiesznie. - Jadę jej szukać. Zajmijcie się dziećmi.

- Weź telefon - powstrzymał go Blake, widząc, że Donald zbiega z aparatem. - Jak się znajdzie, damy ci znać. Nik może wziąć samochód i przeszukiwać teren przy autostradzie. Wiemy, dokąd chce dotrzeć?

- Do Shanni.

- Skontaktuję się z nią. Gdzie ty będziesz?

- Jadę w stronę miasteczka, a potem do Sydney.

- Dobrze, Nik więc przeszuka okolice miasteczka, a my farmę. Odbieraj telefony.

- Nie zapomnijcie przewinać Bessy - rzucił Pierce w biegu i zniknął.

Droga do miasteczka dłużyła mu się jak nigdy w życiu. Wendy na pewno też chciała się tu dostać. Z miasteczka odchodzą autobusy do Sydney, ale ona nie ma pieniędzy. Chyba że... Zadzwoił do Blake'a i poprosił, by sprawdził portfel. Był pełen. A więc nie ma grosza.

W tej sytuacji mogła co najwyżej liczyć na autostop. Nie chciał nawet myśleć, jak może się to skończyć. Im bardziej zbliżał się do miasteczka, tym bardziej był zaniepokojony. Pieszko nie mogła dojść tak daleko. A nigdzie po drodze jej nie widział...

W tym momencie zadzwonił telefon. Przez chwilę bał się go odebrać.

- Jest bezpieczna - usłyszał głos Blake'a i poczuł, jak opada z niego napięcie. - Siedzi na posterunku. Kierowca cysterny z mlekiem zauważył, jak próbowała zatrzymać okazję, i odstawił ją na policję.

Shanni nie mogła się dobudzić, ale dzwonek telefonu uparcie wygrywał skoczną melodyjkę.

- Tak? - spytała zaspanym głosem.

- Shanni? Tu posterunkowy Bob Lester. Dałaś mi kiedyś numer telefonu, pamiętasz?

- Tak... - Z trudem starała się zebrać myśli. - W czym mogę pomóc?

- Mamy tu kogoś, kto bardzo chce z tobą porozmawiać - rzekł łagodnie. - Podejź tu, Wendy.

Wendy siedziała zdenerwowana w pokoju wypoczynkowym dla policjantów i piła czekoladę.

Gdy Pierce wbiegł na posterunek i zobaczył jej zapłakaną twarzyczkę, myślał, że pęknie mu serce.

- Wendy! - zawołał, podbiegając do niej.

Drżącą ręką odstawiła kubek i z trudem próbowała pohamować łzy.

- Jesteś na mnie zły? - wyszeptwała.

I to wystarczyło. W jednej chwili przemierzył pokój i przytulił ją do siebie.

- Wszystko w porządku - mówił tymczasem stojący w progu policjant. -

Pewnie szła tak od kilku godzin, o tej porze droga jest pusta. Mleczarz wyjechał o szóstej i niedługo potem ją zobaczył.

- Chciałam jechać do Shanni - wyszeptwała. - Musiałam jej powiedzieć coś ważnego. Ale już zadzwoniłam...

- Skąd miałaś numer? - zdziwił się.

- Ja miałem - wtrącił policjant. - Kiedyś chciałem się z nią umówić, ale nie udało się. Ciągle była przy tych dzieciakach...

Przez całą drogę do domu Wendy niewiele mówiła, ciągle była bardzo przestraszona.

- Chciałam ją tylko o coś zapytać - wyjaśniła cicho.

- Wendy, jeśli będziesz chciała jeszcze kiedyś kogoś o coś zapytać, to powiedz mi o tym. Przyrzekam, że zawiozę cię, gdzie będziesz chciała.

- Wiem, ale musiałam zapytać sama. Nawet w domu nastrój jej się nie poprawił.

- Najpierw kąpiel - zarządziła Olga. - Taki szmat drogi w samych sandałach! Pewnie masz odparzone stopy. Wskakuj do wanny, a wy - zwróciła się do reszty - przygotujcie śniadanie.

Po niemal godzinie wszyscy znowu zgromadzili się w kuchni. Pierce nie mógł nic przełknąć, ale dzieci nie narzekały na brak apetytu. Właśnie kończyli jeść, kiedy weszła Shanni. Widać było, że też ubierała się pospiesznie, nawet włosy miała

niedbale związane.

- Shanni... - Pierce zagapił się na nią bezmyślnie. - Skąd tu się wzięłaś?

- Przyjechałam, żeby zapytać, czy się ze mną ożenisz. Wszyscy zamarli. Ale po chwili błyskawicznie odzyskali mowę.

- Ja będę sypać kwiatki! - wołała Abby.

- Super! - dodał Nik. - Zjesz śniadanie? Założę się, że nic nie jadłaś. Masz ochotę na grzanki czy od razu przejdziesz do placka z jabłkami?

- Ej, a może dajmy mu najpierw odpowiedzieć? - rzucił Blake, patrząc uważnie na Pierce'a.

Zapadła cisza.

- Ja... - jękał się. - Nie rozumiem...

- Wendy mówi, że chcesz się ze mną ożenić. - Shanni nadal stała w progu i patrzyła tylko na niego. - I uważasz, że jedynym problemem są dzieci. Dlatego wymyśliła, że się wszystkimi zajmie. Prosi tylko, żebyśmy je czasem odwiedzali.

- Tak właśnie wymyśliłam - nieśmiało odezwała się dziewczynka. - Są przecież ośrodki opiekuńcze dla rodzin tak dużych jak nasza. Pomyślałam tylko... może moglibyśmy przyjeżdżać tu w weekendy?

- Mam lepszy pomysł - rzekła Shanni, nie spuszczać z niego oczu. - Zamieszkajmy tu razem. My oboje, dzieci, Olga...

- Nie! - zaprotestował. - A co z twoją pracą?

- Do licha z pracą! - zawołała. - Zresztą, to przecież rejon turystyczny. Otworzę galerię w miasteczku!

- Albo nad Zatoką Delfinów - podpowiedział Blake. - Tam jest jeszcze więcej turystów.

- Można by zrobić jeszcze więcej - włączył się Nik - Rozmawiałem już z Hamishem i Ruby. Chcą rozwinąć sieć placówek dla dzieci, albo nawet dla rodzin w kryzysie. Moglibyśmy je nazwać Farmami Ruby. To pewnie by jej się spodobało.

- O czym wy do licha... - próbował ich przekrzyczeć, ale nie mógł wtrącić słowa.

- Na pewno się uda - ciągnął Nik. - Trzeba by tu kupić trochę zwierząt dla dzieci. Kucyki, owce...

- Dobry plan. Mam przyjaciółkę, która zna się na hodowli zwierząt - rozkręcała się Olga.

Pierce patrzył na to wszystko oszołomiony, ale nagle wstał i odezwał się głośno:

- Przepraszam!

- Chcesz ożenić się z Shanni? - spytała Abby.

Shanni wciąż patrzyła na niego pełna napięcia. Zanurzył się w tym spojrzeniu i wiedział już, że nie potrafi dłużej ze sobą walczyć.

- Tak - odparł, a po chwili usłyszał zbiorowe westchnienie ulgi. - Ale najpierw muszę ją zapytać.

- Nie ma po co - stwierdził Blake. - Już po sprawie. Olga, możesz podać ciasto.

Wielka blacha ciasta wjechała na stół i wszyscy się nad nią pochylili.

- Jeśli naprawdę chcesz się oświadczyć, to szybko - ostrzegł Nik. - Bo nie zostawimy ani okruszka!

Zabrał ją aż do zagrody dla byków, bo tylko tu mogli liczyć na odrobinę prywatności.

Gdy dotarli na miejsce, Shanni oparła się o ogrodzenie i przez chwilę patrzyła na Pierce'a w milczeniu.

- Wyglądasz na zagniewanego - rzuciła w końcu.

- Raczej zirytowanego - odparł. - Wolę bardziej panować nad sytuacją.

- Rozumiem - uśmiechnęła się lekko. - Ja też.

- To mamy coś wspólnego...

- Pewnie znalazłoby się więcej takich cech. Ale najważniejsza to wspólna miłość do piątki dzieci.

- Kochasz je? - zdziwił się szczerze. - Wiesz, ile razy trzeba do nich wstawać w nocy? Jesteś pewna, że wiesz, na co tę porywasz?

- Dam radę - zapewniła. - Jeśli tylko mnie kochasz.

Świat zamarł.

- A dlaczego myślisz, że cię nie Kocham? - spytał, z trudem wydobywając głos przez zaciśnięte gardło.

- Bo nigdy mi tego nie powiedziałeś.

- Nie wiem jak - wyszeptał.

- Jak kochać? - zaśmiała się. - To proste. - Objęła go i pocałowała. - Właśnie tak. Kocham cię, Pierce, od stóp aż po czubek głowy. Kocham cię bardziej niż kogokolwiek. Nie miałam nawet pojęcia, że można kochać tak mocno. Jak dobrze, że Wendy mi powiedziała...

- Shanni - zaczął z wahaniem. - Wiem, co do ciebie czuję, ale nie jestem wcale pewien, czy umiem dawać miłość...

- To zrobmy test - zaproponowała. - Mam już pieniądze, wynajmę więc duży dom i razem z Olgą, Ruby i dziećmi przeprowadzimy się tam, a ty wrócisz do swojego kawalerskiego życia. Co ty na to?

- Ja...

- Mówię poważnie - zapewniła i musiał przyznać, że rzeczywiście mówiła serio. - Chcę ci pokazać, że wcale nie boję się odpowiedzialności. Taka jest więc moja oferta. Możesz wrócić do dawnego życia, a my będziemy żyli razem, bez ciebie.

Dawne życie? Już ledwie je pamiętał. Miałby znowu swoją niezależność... Tak, a cała rodzina żyłaby sobie gdzieś razem, ale bez niego.

- Nie chcę! - zaprotestował.

- Mam więc drugą ofertę. To ja będę was odwiedzać, jeśli mnie nie chcesz...

- Nigdy tego nie powiedziałem!

I nagle coś go olśniło. Przepaść, jaka rysowała się między tymi wizjami - wspólnym życiem i samotną egzystencją bez Shanni i dzieci - była wprost przerażająca. Już wiedział, co ma robić. Być może musi jeszcze wiele się nauczyć, ale wiedział, jak chce przebyć tę drogę.

- Shanni - odezwał się uroczyście i przyklęknął na jedno kolano. - Kocham cię. Kocham cię bardzo i chcę, żebyś za mnie wyszła.

Uśmiechnęła się, a w jej oczach błysnęły łzy.

- Pierce, jesteś pewny?

- Nigdy nie byłem niczego bardziej pewien. Kocham cię tak bardzo, że nie chciałem, abyś dla mnie porzuciła cokolwiek. Nie chciałem obciążać cię takimi obowiązkami. Wiem jak ciężko czasami sobie z tym wszystkim poradzić i chciałem cię przed tym uchronić.

- Ale gdyby nie twoje przywiązanie do dzieci, nawet w połowie nie byłbyś taki pociągający - drażniła się z nim.

- Shanni, wyjdiesz za mnie?

Przez długie minuty nie odpowiadała, tylko patrzyła na niego i uśmiechała się. A potem pochyliła się, objęła go mocno i wtedy zrozumiał, że choć Ruby tak bardzo się starała, dopiero ten cudowny rudzielec nauczył go, co to jest miłość Jego Shanni. Jego słodka narzeczona.

- Oczywiście, że za ciebie wyjdę - szepnęła. - Och, Pierce, kochany... Witaj w domu.

To był prawdziwy raj dla nowożeńców. Hotel Paradise obiecywał wyjątkową atmosferę i trzeba przyznać, że spełniał te obietnice. Pławili się w niej już od kilku dni. To był ich miesiąc miodowy. Cudowny czas tylko dla siebie, bez żadnego dziecka w zasięgu wzroku.

- Nieważne, jak bardzo je kocham, żadne nie pojedzie z nami na miesiąc miodowy - zapewniał Pierce jeszcze przed ślubem.

A potem była wspaniała uroczystość z rodziną, mnóstwem przyjaciół, dziewczynkami z kwiatami, druhami i wszystkim innymi atrybutami.

Teraz wreszcie byli sami i zażywali uroków wolności. O tej porze w ośrodku było niewiele par i mieli całą plażę dla siebie. Shanni leżała w ramionach Pierce'a, a promienie słońca tańczyły na jej twarzy. Wypełniało ją szczęście i miłość.

- Ahoj, tam na brzegu! - usłyszeli nagle.

Na falach kołysał się ponton, a w środku siedziało dwóch facetów i czworo dzieci. To chyba znaczy, że sielanka właśnie się zakończyła...

Pierce wskoczył do wody, żeby ich przyciągnąć, a Shanni wypatrywała ich z brzegu.

- Przepłynęliście tak cały ocean?

- Wynajęliśmy jacht - oznajmił dumnie Nik. - Ruby, Olga i Bessy nadal są na pokładzie.

- Ruby jest kapitanem - powiedziała Wendy - Ale Sam jej pomaga.

Aha, więc ściągnęli kolejnego brata.

- Co tu robicie? - spytał Pierce, starając się brzmieć groźnie. - To nasz miesiąc miodowy.

- Chcieliśmy tylko sprawdzić, czy za nami nie tęsknicie - odezwała się Abby. - Tęsknicie?

- Bardzo! - przyznała Shanni, przytulając ją mocno.

- Może chcecie z nami wracać? - drażnił się Nik.

- Jeszcze nie. Przez dwa tygodnie nie chcę was widzieć - odparł Pierce. - Ale potem zostanę z wami na resztę życia.

- Jeśli zechcesz, możemy was jeszcze kiedyś puścić na drugi miesiąc miodowy - zaproponowała Abby łaskawie.

- Ale nie wiem, czy będziesz chciał, wyglądacie tu trochę samotnie...

- Nie jesteśmy samotni - zapewnił Pierce, spoglądając przeciągle na Shanni. - Dobrze nam tu. Wy macie swoje wakacje, a my swoje.

- Ale my mamy kanapki - rzucił Nik. - Może zjecie z nami, a potem znów będziecie mieli swój miesiąc miodowy - kusił, uśmiechając się czarująco do Shanni.

- Nie szczerz zębów do mojej żony!

- Może się uśmiechać, ile chce - broniła go Shanni. - To przecież rodzina.

Wujaszek Nik. Więc gdzie macie te kanapki?

- To prywatna plaża. Wyrzucą nas stąd i aresztują - ostrzegął Pierce.

- Super, wtedy wszyscy będziemy razem! - zaśmiała się Shanni. - I tak

powinno być. Jest doskonale. Miesiąc miodowy przeplatany życiem rodzinnym.

- Oby nie za często przeplatany! - Pierce udawał zirytowanego.

- Nie oszukuj. Kochasz to i ja też. - Uścisnęła go i uśmiechnęła się pogodnie. -

Trochę miesiąca miodowego i mnóstwo życia rodzinnego. Już na zawsze!



RS